Nr. 46. Warszawa, dnia 4 (17) Listopada 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub [illegible]

POLITYKA.

ZWYCIĘZTWO W IZBIE.

Gabinet p. Waldeck - Rousseau stoczył d. 8 b. m. walną bitwę z koalicyą, może tylko przypadkową, socyalistów nieprzejednanych wobec Badina i Milleranda, którzy im urągają samem swem dostojeństwem ministeryalnem, melinistów, podkopujących rzeczpospolitą oskardami republikańskimi, i nacyonalistów, usiłujących *per fas et nefas*, a częściej niegodziwością, niż z jakiem takiem poczuciem wstydu, zwalić formę rządu, która im zagradza *pronunciamento* rynsztokowe. Z tą koalicyą na przyprzążkę szedł doktryner Ribot, były, niejednym nawrotem, minister. Podjazd, rozstrzygający o niechybnem zmierzeniu się z rządem był faktem spełnionym zaraz po otwarciu Izb d. 6 b. m. Socyalista Vazcilles zawezwał rząd do wylegitymowania się z prawowitości dalszej projektami reform społecznych, przygotowanymi dla Izb. Inny socyalista, Viviani, pociągająo rząd przed kratki za ogólny kierunek polityczny, wyliczył reformy upragnione przez jego stronnictwo: trzyletnia szkoła państwowa przed objęciem urzędu, zniesienie własności z martwej ręki, zwalenie instytucyi sądów wojennych (wojskowych), wprowadzenie sądów rozjemczych między robotnikami a przedsiębiorcami.

Waldeck-Rousseau wyłuszczył program blizki, rzeczywisty, już opracowany, już w koszu projektów rządowych do Izby wniesiony. Prócz budżetu i projektu nowej akcyzy od spirytualiów, znajduje się tam projekt prawa o stowarzyszeniach, prawa chroniącego robotnice w przemyśle od nędzy na starość, podatku dochodowego, reformy sądu wojennego i wreszcie owego prawa o trzylatkach państwowych. Podobało się szczerym republikanom określenie zadania nowego projektu o stowarzyszeniach: Ma niem być „zażegnanie niebezpieczeństw grożących mieniu publicznemu i moralnej jedności narodu" ale nie podobało się uszeregowanie projektów w kolei czasu. Tak porządane przez socyalistów i republikanów czystych poddanie kandydatury urzędniczej pod rygor trzyletniej nauki w szkole państwowej ma przyjść dopiero po innych projektach, a umieszczony na szarym końcu ów nieszczęsny podatek dochodowy, wygląda jak kopciuszek, którego rząd radby jaknajprędzej za drzwi wypchnąć. Toż samo prawie powiedzieć można o „reformie" sądów wojennych. Rząd mówi o reformie, kiedy socyaliści wołają o zupełne zniesienie, a wołanie to, od czasów Dreyfusa coraz głośniejsze, jeżeli gdzie, to w państwie równości i wolności, przedewszystkiem zaś prawa, jakiem każda rzeczpospolita, jeśli nie chce być nieprawem dziecięciem demokracyi, stać się powinna — wołanie to ma prawo wejść w programat polityki nie tego lub owego stronnictwa, ale całego narodu. Mięko wyraził się prezes gabinetu o owem trzyleciu szkolnem: nie powiedział nawet stanowczo, czy je już w tej sesyi nieodwołalnie przedstawi.

Sądy rozjemcze we Francyi już od roku 1892 istnieją, ale nie okazały się dość sprawnemi na potrzeby pokoju społecznego. P. Waldeck-Rousseau przyrzekł nowe opracowanie, w którem miejsce dobrowolności zastąpiłby przymus. Tutaj, oczywiście, nieodzownym jest czas sięgający po za kres obecnej sesyi. Uznano tę konieczność i nie domagano się pośpiechu nad możność. Na zapytanie Izby przez prezesa gabinetu, czy zgadza się na porządek rozpraw ogólnie zarysowany, Izba odpowiedziała oklaskami, które wszakże niczego nie rozstrzygnęły.

Rozpoczęto rozprawy nad programem rządowym, nad jego polityką ogólną. Socyalista Vaillant nie może strawić Milleranda w rządzie; zachowawca Massabuau dopomina się reformy podatków, ale nie takiej, jaka zamigotała w mowie ministra. Ribot potępił przymus w sądach rozjemczych i wytknął niezgodność tego, co Millerand powiedział był w dep. du Nord, a tem, co teraz p. Waldeck-Rousseau mówi w Izbie. Millerand bronił się i kazał czekać na projekt rządowy.

Po tem starciu straży przednich d. 8 b. m. przyszło do owej walnej bitwy na gruncie ogólnej polityki rządu. Boyer, Carnaud, Thiery, ganili surowość względem robotników w Marsylii, przyczem wydalono z Francyi deput. włoskiego Morgarego. Sembat ujął się za sprawcą zamachu na księcia Walii, Sipidem, którego rząd nie wahał się wydać Belgii. W tej sprawie wyjaśnił minister sprawiedliwości, senator Monis, że Belgia ma od r. 1898 z Francyą umowę, zobowiązującą do wydawania właśnie nieletnich. Sam Waldeck staje do rozprawy o Marsylię, a w zakończeniu jej wywołuje kwestyę zaufania Izby do rządu, jako wykonawcy programu reformatorskiego. Oświadcza przytem, że cały gabinet występuje solidarnie. Izba zaczęła natychmiast kwestyi zaufania nadawać kształt, a raczej kształty przeróżne według zasad, poglądów, interesów i dążeń pojedynczych stronnictw i przewodzących w nich jednostek.

Odillon Barot i Malaspina proponują: „Izba przyjmuje z uznaniem do wiadomości oświadczenia rządu." Waldeck się zgadza, ale nie zgadza się Meline. Pachołek jego, Goujon, dodaje: „i potępia doktryny kolektywistyczne" — które w przekonaniu

samych Melinistów nie są bynajmniej doktrynami rządu. Socyaliści ze swojej, republikanie starsi, głębsi, rdzenniejsi ze swojej strony ostrzegają większość, aby nie lazła w błoto. Izba wysłuchuje z zajęciem pięknego i rozsądnego przemówienia Brissona, nie zamyka uszu na głos Vivianiego i przyjmuje wniosek Barota i Malaspiny (300 — 238), a ma jeszcze przyjąć lub odrzucić wniosek Goujona. Waldeck przewiduje niebezpieczeństwo i uprzedza Izbę, że dodatek melinowski nie dotyka parlamentarnej kwestyi zaufania do rządu. Bardzo mu się ta przezorność przydała: Izba potępia kolektywizm 257 głosami przeciwko 214; idzie dalej i potępia wydanie Sipida (306 — 196). Pod ostateczne głosowanie przychodzi pokraka jakaś z trzech aż uchwał między sobą niezgodnych, a mających wytworzyć jedną niepodzielną całość. Wtedy socyaliści usiłują odroczyć głosowanie do dnia następnego. Zaczynają się krytyki uchwał i samego postępowania, leją się nowe mowy i rozprawy i nawet owa w Europie tak popularna, tak wdzięczna obstrukcya. Wreszcie Faure i Auge robią wyłom w niedorzeczności: usiłują główną zasadniczą uchwałę uwolnić od zanieczyszczających ją dodatków i proponują wręcz: „Izba w zaufaniu do rządu polega na jego czynach republikańskich i odrzuca wszelkie dodatki, któreby wyraz tego zaufania osłabić musiały." Pierwszą część przyjęto 329 przeciw 222 głosom, drugą 321 przeciw 246-u. Gabinet zwyciężył, ale kto wie, czy nie było to pyrrusowe zwycięztwo. Wrogowie rządu w tym tygodniu ponowili napad.

Tydzień polityczny. Wybory elektorów prezydenta d. 6 b. m. dały Bryanowi 156, Mc Kinleyowi 292 głosy. Ponieważ tak wielka różnica nie pozwala nadawać wagi zmianom przy samem głosowaniu przewidywanym, Kinleya przeto uważać można już za prezydenta na drugie czterolecie. Jednocześnie wybierano i do kongresu i do ciał prawodawczych w stanach i na gubernatorów: w sumie pozwyciężali imperyaliści, tj. republikanie z rozmachem monarchicznym i demokraci z oskomą na cezaryzm.

W Chinach, prócz mrozu i tyfusu, pożogi, mordy, burzenie całych osad, wieszanie bokserów i nie-bokserów, dorabianie się tytułów właściwych u historyi, przed którą, jak przed biblijnym Bogiem, nikt nie ucieknie. Campbell, Anglik nowego stylu, chwaląc się, wylicza swe okrucieństwa w buletynie: wstyd już człowieczy znika, powstaje nowe prawo — bestyi. Zasady do pokoju, wymęczone przez posłów, poszły do gabinetów po pieczęcie. Amerykanie — imperyaliści jeszcze nie wprawni, żądali wygnania wszystkich urzędników, którzy są, a mianowania tych, którzy będą, tylko za opowiedzeniem się Europie. Ważnem jest oświadczenie admirała Aleksiejewa, Li-Chung-Czangowi przesłane, że Rosya bierze Mandżuryę tylko pod protektorat, wzywa Chiny do objęcia jej napowrót, zastrzega sobie wszakże straż własną, niezbędną dla kolei. Dzienniki podają siłę tej straży — przy wielkiej rozległości kraju i kolei — na 40,000. Dwór chiński obrał sobie za stolicę Hsi-Ngan-Fu nad Wei-ho, dopływem Hoang-ho.

Salisbury miał mowę doroczną na rybce u lorda-mayora: chwalił własny ogon. Nie wahał się przyznać — co zresztą było i jest nieprawdą — że Anglia przeciw Boerom zgromadziła tylu żołnierzy, ilu obie rzeczypospolite mają mieszkańców. Wspomniał o konwencyi z d. 16 października z Niemcami, na co sarkają politycy kałamarzowi w Anglii.

W Austro-Węgrzech spór o kolej w Bośnii, o jej kierunek i pierwszeństwo w budowie — jeszcze nie uśmierzony. W Galicyi rozpoczęły się prawybory w kuryi wiejskiej. W Czechach Staroczesi manifestują się przy prawie historycznem, a przeciwko Niemcom.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OPIEKA SPOŁECZNA.

I. Obłąkani i dotknięci rozstrojem nerwowym.

Dwie kategorye istot, należących do rodzaju ludzkiego pozostają u nas na łasce losu: ludzie dotknięci rozstrojem umysłowym i dzieci robotników, wyrobników, rzemieślników, wszelkich nędzarzy itd. Z istot tych w całym kraju złożyłyby się tłumy wielotysięczne. Pomijając już ten niezmiernie doniosły fakt, że pozostawienie bez opieki tych nieszczęśliwych jest smutnym objawem uśpienia w społeczeństwie wielkich uczuć altruistycznych — brak pomocy i zaradności społecznej w tej mierze przynosi całemu krajowi nieobliczone straty moralne i materyalne. Ludzie, dotknięci przemijającym rozstrojem umysłowym, mogliby wyzdrowieć i być pożytecznymi pracownikami. Brak atoli pomocy i opieki lekarskiej czyni z nich niedołęgów, chorych nieuleczalnie, którzy obarczają społeczeństwo wielkim ciężarem. Nadto, obłąkani puszczeni samopas po wsiach i miasteczkach, bardzo często stają się sprawcami pożarów i innych nieszczęść (jak np. głośny przed kilku miesiącami wypadek wymordowania całej rodziny przez obłąkanego). Wreszcie wałęsający się po ulicach obłąkani i idyoci dają sposobność dziatwie puszczonej samopas, a nawet dorosłym, do rozbudzania ohydnych instynktów: natrząsania się nad nieszczęśliwymi. Szczególnie dziatwa i wyrostki dopuszczają się wprost okrucieństwa, bo nietylko drażnią chorych, lecz obrzucają ich błotem i kamieniami. Okrucieństwo to wytwarza się także nieraz w rodzinach ludzi ciemnych i ubogich, dla których człowiek obłąkany jest niepomiernym ciężarem w domu.

Ilu jest w całym kraju ludzi dotkniętych rozstrojem umysłowym, w cyfrach określić nie możemy, gdyż nikt u nas jeszcze się nie zajął rzetelnie tą smutną statystyką. Wiadomo tylko tyle, że obłąkani i wogóle dotknięci rozstrojem umysłowym stanowią w naszem społeczeństwie ogromny procent, że można ich spotkać wszędzie na drogach wiejskich w każdej niemal wsi, w każdem mieście, miasteczku lub osadzie. Wiadomo również, że jedyny w kraju wzorowo urządzony szpital nie może przyjąć drobnej cząstki ogółu chorych tej kategoryi, że umieścić pensyonarza w tym zakładzie jest trudniej, niż zdobyć posadę w biurach bankowych lub na kolei. Szpital w Tworkach jest tedy przeznaczony tylko dla ludzi zamożnych. Dla niezamożnych i nędzarzy pozostają ulice, drogi publiczne, lasy, miejsce w sieni lub pod ławą w izbie.

W takich smutnych warunkach z radością trzeba powitać zawiązek nowej instytucyi — Towarzystwa opieki nad obłąkanymi i dotkniętymi rozstrojem nerwo-

---

Stefan Żeromski.

GODZINA.

(Dokończenie).

MŁODZIENIEC.

Wczoraj byłem tu w nocy, po burzy. Nie zauważyła siostra, żem wyszedł. Co chwila trzaskał jeszcze piorun i ziemia pod nim drżała, jak łono dziewicze pierwszy raz wydane wszechmocy miłosnej. Kasztany nasiąkły deszczem, a kwiaty ich przeraźliwym ogniem błyskawic. Za każdym strzałem, gdy rozstępowały się czarne niebiosa, ukazując morze ogniste, widać było wszystkie drzewa kasztanowe i wszystkie ich kwiaty wylękłe. Zdawało się, że na te konary i liście w owej chwili dopiero zstąpiły z niebios kwiaty, niby płomienne języki. Kiedy wszedłem pod sklepienia szerokiej ulicy, spadały na mnie od chwili do chwili nagłe gromady kropel, jak wybuchy łez wieczności, łez wszystkich nocy i dni świata, zalewały mi twarz, wyciągnięte ręce, wzniesione oczy. Drzewa wtedy wzdychały z ciemności, wzywały ku niebu. Czułem głęboki ból, czy głębokie szczęście, ale nie moje własne, nie ułomne, nie ludzkie, lecz kwiatowe, listne, drzewne. Jak gdyby niewidzialny dajmonion unosił się dokoła mej głowy i strącał na moje czoło krople wody żywej, stwarzającej przemienienie.

Wracałem na salę po ciemku. Była już późna noc. W korytarzach wstrętny zaduch, otwarte drzwi do sal były czeluściami pełnemi łkań i westchnień. Przy świetle lampki gdzieś w końcu błyszczącej widziałem kubły z watą i gazą, oderwaną z ran, które zostawili znużeni posługacze.

SIOSTRA.

Żal mi pana.

MŁODZIENIEC.

Tego nie trzeba mówić nikomu! Ja lękam się czyjejkolwiek litości, jak choroby zakaźnej. Tępiłem w sobie zdawna tkliwą litość, a teraz w czwórnasób pracuję, żeby się zsychać w głębi, jak ścięte drzewo, żeby wszystkie wzruszenia z zewnątrz, od ludzi przychodzące, — morem wygubić. Wyglądam, kiedy w mej duszy wszystka głucha męczarnia zgaśnie niby ognisko wśród dziewiczego lasu zadeptane nogami, zalane przez niewiadomą mi, przyszłą ulewę; kiedy nareszcie przestanę zwodzić walkę na całe bary, na całe piersi i wszystko serce, walkę Jakóba z Aniołem. Wtedy dopiero zbudzi się z martwych własne moje serce. Przeminą grube ciemności i wzejdzie pierwszy nów! Nie ukaże się wówczas nic już takiego na ziemi, coby mię mogło przerazić. Nieszczęsny duch, który błądził po wyniosłych pagórach, nie będzie już leżał bezwładny, jak dzika sarna ze skręconym karkiem i nogami złamanemi w zuchwałych skokach, umierając w samotności, w uporze wiecznym, w głębi milczenia wystygłych gór, nad otchłanią.

SIOSTRA.

Złe marzenie jest taką samą tyranią i rozpustą duszy, jak handel ludźmi, albo bicie dzieci przez dorosłych i silnych.

MŁODZIENIEC.

Bicie dzieci przez dorosłych i silnych... Tak, tak! Opowiem... Największą katuszę sprawia nie ciężar jarzma, lecz widok, jak je ktoś dźwiga. Ten widok w sobie zniszczyć, ten widok, który zatruł sobą żyły i kości, napełnił piersi i czaszkę, stał się czemś nieodłącznem, jak chore płuca i przemienił się w serce. Cóż jest noszenie jarzma? Chrystus niósł na barkach krzyż swój, mówiąc: „Nie nade mną płaczcie, lecz nad sobą i nad dziećmi waszemi." A ci, co nad Nim płakali, ciągnęli w trudzie jarzma swoje. Jakże świętemi są te słowa idącego na śmierć! Spojenia jarzma

wym. Wprawdzie nie zaspokoi ona wszystkich potrzeb, gdyż wedle ustawy działalność jej nie może przekroczyć granic Warszawy, ale bądź co bądź, jest to początek, który może pobudzić całe społeczeństwo do zabiegów w tej mierze i do rozszerzenia instytucyi w ten sposób, ażeby zczasem mogła ona cały kraj ogarnąć. O ile wiemy, nowa instytucya będzie się wzorowała na urządzeniach zagranicznych tego rodzaju. Zadaniem jej będzie otoczenie opieką ludzi obłąkanych i wogóle dotkniętych silnym rozstrojem nerwowym; przychodzenie z pomocą rodzinom ubogim, które są obarczone chorymi. Oczywiście powstanie, rozwój i cała działalność instytucyi zależy od środków materyalnych, które muszą być dosyć znaczne, ażeby praca mogła być owocną. Na zdobycie tych środków trzeba byłoby czekać jeszcze bardzo długo, a tymczasem rozpraszałaby się energia, słabłaby organizacya. Otóż garstka ludzi postanowiła przedsięwziąć takie kroki, któreby od samego początku zaznaczyły wyraźne ślady pożytku. W tym celu stworzono komisyę z lekarzy specyalistów: Korniłowicza, Rychlińskiego, Taczanowskiego, Bucelskiego, Wisłockiego i Wizla, która opracowała i przedstawiła zarządowi referat. Określa on zadanie instytucyi w sposób następujący:

Chodzi nietylko o opiekę nad chorymi umysłowo i nerwowo z warstw ludności najuboższej, nietylko o bezpłatne leczenie w takich wypadkach, gdy ono może dać wyniki dodatnie, lecz także o to, ażeby nowe Towarzystwo mogło dać przykład mądrej i oszczędnej organizacyi lecznictwa i przytulania i przekonać ogół nasz, że sprawy te należą do obowiązków społecznych i winny być ujęte w ręce przez samo społeczeństwo. Ażeby odpowiedzieć tym wymaganiom, trzeba przedewszystkiem nakreślić stosowny plan działalności, „któryby w szeregu całych dziesiątków lat konsekwentnie i stopniowo mógł być przeprowadzany.“ Zanim atoli rozpocznie się jakakolwiek czynność, trzeba przedewszystkiem przedsięwziąć poszukiwania statystyczne. Pracę tę powinno rozwinąć samo Towarzystwo za pośrednictwem swych funkcyonaryuszów. W ten tylko sposób można będzie uświadomić sobie cały ogrom potrzeb społecznych w danej kwestyi.“ Ponieważ, jak zaznaczyliśmy powyżej, Towarzystwo działać może tylko w obrębie Warszawy, więc się nasuwa bardzo ważna sprawa, na którą zwróciła uwagę komisya lekarska: Do Warszawy napływa wielka liczba chorych z prowincyi, a więc Towarzystwo, chcąc nie chcąc, będzie musiało zająć się nimi. Zebranie tedy dokładnych danych statystycznych z całego kraju, jak zaznacza referat, niezbędne jest: 1) ze względu na wykazanie, iż prowincya powinna dać Towarzystwu należyte poparcie moralne i materyalne i 2) że cyfry tą drogą otrzymane pozwolą w należyty sposób kierować potrzebnemi zarządzeniami. Zarządzenia te muszą być różne, ze względu na różne kategorye chorych, którymi trzeba będzie się zaopiekować.

Chorych nerwowych komisya dzieli na kilka kategoryj: *a*) tacy, którzy ze względu na rodzaj cierpienia nadają się tylko do stałej opieki w przytułkach; *b*) tacy, którym należy udzielać bezpłatnej pomocy lekarskiej, a także wspierać materyalnie; *c*) tacy, którzy pomimo zdolności do pracy, nie mogą znaleźć sami odpowiedniego dla siebie zajęcia. Towarzystwo powinno im ułatwiać znalezienie pracy; *d*) wreszcie tacy, którzy są dotknięci chorobą choć nieuleczalną, lecz możliwą do wyleczenia jedynie w odpowiednio urządzonym zakładzie leczniczym. Dla tych wszystkich kategoryj chorych potrzebne są następujące urządzenia: 1) ambulatorya bezpłatne i bezpłatna pomoc lekarska w domu; 2) przytułki; 3) sanatorya. Zdaniem komisyi lekarskiej, Towarzystwo nie ma potrzeby stwarzać nowych ambulatoryów, gdyż i tak istnieje ich w Warszawie dostateczna ilość. Towarzystwo mogłoby tylko wejść z niemi w porozumienie i posyłać do nich swych chorych. Co do pomocy lekarskiej w domu, da się ona łatwo uskutecznić przy współudziale licznych lekarzy, którzy do Towarzystwa należeć będą. Byłyby wielce pożądane przytułki dla chorych nerwowych nieuleczalnych (np. dla chorych z cierpieniami organicznemi układu nerwowego). Ale w chwili obecnej Towarzystwo nie może myśleć o zakładaniu ich, ze względu na potrzeby pilniejsze; więc i w tym razie komisya radzi poprzestać na przytułkach już istniejących. „Przytem Towarzystwo winno wejść w porozumienie z ich kierownikami, prosząc o oddanie schronisk pod zarząd Towarzystwa, przy zachowaniu wszystkich dotychczasowych praw i przywilejów, lub przynajmniej o uwzględnianie rekomendacyi Towarzystwa, gdy będzie chodziło o umieszczenie chorego, wymagającego opieki.“ Do najpilniejszych komisya zalicza sanatorya dla nieuleczalnych. Należy je stworzyć możliwie najprędzej.

Chorzy na umyśle, podlegający opiece Towarzystwa, dzielą się na następujące kategorye: *a*) dotknięci ostrym obłędem (lub przewlekłym, z objawami silnego podniecenia), wymagający natychmiastowej pomocy lekarskiej i natychmiastowego umieszczenia w szpitalu; *b*) chorzy, dotknięci przewlekłem spokojnem cierpieniem, których leczyć już nie trzeba i którzy winni znaleźć pomieszczenie jedynie w przytułku. Chorzy ci dzielą się z kolei na dwie kategorye: na zdolnych do pracy i niezdolnych do żadnego zajęcia.

Z pierwszego podziału wynika — czytamy w referacie — że Towarzystwo powinno dążyć do następujących środków: 1) chorzy z ostrym obłędem lub z przewlekłem obłąkaniem, lecz ujawniający podniecenie, powinni być natychmiast umieszczeni w szpitalu; 2) Towarzystwo powinno mieć w swem posiadaniu specyalne przytułki dla chorych z przewlekłem spokojnem cierpieniem, zarówno dla zdolnych, jak i niezdolnych do pracy. Punkt pierwszy komisya nazywa najdonioślejszym w całym programie działalności Towarzystwa. Chory, dotknięty ostrym obłędem, ze względu na konieczność natychmiastowej pomocy lekarskiej, a także ze względu na bezpieczeństwo własne i swego otoczenia, powinien być jaknajspieszniej umieszczony w szpitalu. Wogóle Towarzystwo powinno być swego rodzaju pogotowiem ratunkowem. „Jak przy krwotokach i złamaniach — czytamy w referacie — im spieszniej pomoc będzie udzielona, tem większe są szanse wyzdrowienia, tak samo i przy obłędzie — im wcześniej chory będzie umieszczony w szpitalu, tem prędzej i pewniej może zdrowie odzyskać.“ Otóż zadaniem Towarzystwa powinno być ułatwianie takim chorym możliwie najszybszego przyjęcia do szpitala.

Nowa instytucya powinna dążyć wszelkiemi siłami (w miarę rozwoju) do zakładania schronisk i przytułków, między innemi t. zw. „kolonij roboczych.“ Zdaniem komisyi lekarskiej, oba te rodzaje schronisk należy urządzać na wspólnem terytoryum tudzież związać je wspólnym zarządem i administracyą. Po stworzeniu

---

można rozerwać jednej chwili, ale widok Chrystusa, dźwigającego swój własny krzyż na górę Kalwaryi...

Wyłuszczę teraz sprawę najbardziej istotną, którą widziałem za krótkich dni mego życia. Onego razu szedłem chodnikiem wielkiej stolicy. Byłem po miejsku obumarły, niosłem w sobie serce bez horyzontu, bez wschodu i zachodu, bez widoku nieba, podobne do drzewa skarlałego w miejskim dziedzińcu. Tłumy biegły w jedną i drugą stronę; lśniące pojazdy mknęły z szybkością. Mijałem wspaniałe wystawy sklepów i poprzeczne ulice z tem samem znieczuleniem, co ludzi biegnących. Aż oto w sąsiedztwie pewnej bramy zwróciło moją uwagę zbiegowisko. Stróż domu trzymał coś ciekawego. Kiedy, rozsunąwszy koło widzów, stanąłem u rdzenia sprawy, ujrzałem siedmioletnią dziewczynkę, która niosła na ręku dziesięciomiesięcznego chłopczyka. Włosy jej były czesane przed wieloma laty, bo coś w rodzaju warkoczów pozlepiało się w tłuste kołtuny; łachman, którym była okręcona wzorem piastunek, rozłaził się na plecach, ukazując łopatki wytężone od ciężaru. Spódnica była w strzępach, nogi bose... Pierwsze, prędko uskutecznione badanie i zeznania świadków okazały, że to jakaś wyrodna matka przysyłała dwoje swych dzieci, aby budziły obrzydzenie, oraz litość widokiem nędzy i żebrały. Ale szczwana już w swem rzemiośle dziewucha nie chciała wymienić adresu matki tak występnej.

SIOSTRA.

Matki tak występnej...

MŁODZIENIEC.

Prowadzono ją tedy w celu powzięcia bliższych wyjaśnień. Dla zabicia czasu szedłem i ja wraz z grupą ciekawych. Szliśmy bardzo długo, rozlicznemi ulicami, to też orszak zeszczupiał wkrótce do liczby paru osób. Jakiś emeryt, jakaś dewotka w niemodnej salopie... Stróż mocno trzymał pauprzycę za kark w przewidywaniu ucieczki. Ten i ów z obywateli przystanął na chodniku, obejrzał gromadkę i szedł dalej. Tkliwsze osoby pytały o coś, ale, nie otrzymawszy odpowiedzi, z westchnieniem szły dalej. Było to w marcu, padał śnieg okrągłemi grudkami na rdzawe błoto, wiał z ulic srogi wiatr. Idąc krokiem ospałym człowieka w futrze, miałem przed oczyma zaniedbane dziecko, zepsute już tak dalece, że musiało być tresowanym wspólnikiem występku. Pieniądze, miedziane wyrazy świętej litości, chwytało sprawnym, niewolniczym ruchem wyćwiczonej małpy. Stopy tej łotrzycy nie unosiły się wcale ze wspaniałego chodnika, lecz zdzierały jego chropawość podeszwami prędko, prędko, prędko. Były to nogi czerwone, chude, śmieszne, jak skoki zająca, a wykrzywione w stopach od siebie, jak u jamników. Posuwanie się brzegiem trotuaru, zbudowanego dla ludzi ucywilizowanych, tego brudu sprawiało efekt jadowitych ukąszeń, zostawiało w uszach, w ramionach, na piersiach, w stopach i w całem ciele pewien rodzaj zadzierzystych żądeł. Ciężar małego chłopaka, który siedział na lewej ręce siostry, przywiązany szmaciskiem na cały dzień, wykrzywiał korpus jej ciała. Czerwona ręka niemowlęcia kurczowym ruchem trzymała się za szyję dziewczyny. Była to prawica, uzbrojona w palce, które już umiały trzymać się mocno życia całemi godzinami, bez ruchu, szemrania i wytchnienia. Była to ręka dziesięciomiesięcznego obywatela, który już wdział ludzkie jarzmo. Głowa jego zwracała się w naszą stronę, w stronę czułych widzów. Gołe łopatki, wzdrygające się co chwila wskutek podrzucania ciężaru, nogi odsłonione aż do biodor chłostał wiatr i smagał bat śniegu. Szliśmy coraz prędzej.

Na pytanie, czemu wzbrania się opisać ulicę i lokal swej matki, badana oświadczyła, że tego nie powie, bo ją za takie rzeczy biją w domu „po mordzie.“ Wobec tego...

tych schronisk należy przystąpić do organizacyi opieki nad dotkniętymi przewlekłą chorobą umysłową. Opieka ta słynie za granicą pod nazwą *patronage familial*. Należy ją zapoczątkować w bezpośredniem sąsiedztwie ze schroniskiem wśród okolicznych włościan; dopiero z biegiem czasu będzie się ona mogła rozszerzać w coraz większym promieniu.

Jak widzimy, komisya, złożona z lekarzy specyalistów, nakreśliła bardzo rozległy program działalności organizacyjnej Towarzystwa opieki nad obłąkanymi i dotkniętymi rozstrojem umysłowym. Na urzeczywistnienie tych wszystkich zadań trzeba wielu lat i olbrzymich środków materyalnych. Tymczasem zaś musiano wykonać najpilniejsze zadania, a więc przedewszystkiem ułatwiać możliwie najszybsze umieszczenie w szpitalu chorych, dotkniętych ostrym obłędem. W tym celu komisya proponuje następujące środki: 1) Wystąpić do rady miejskiej dobroczynności publicznej z prośbą, aby chorzy z kwalifikacyami Towarzystwa byli niezwłocznie przyjmowani do szpitali psychiatrycznych, pozostających pod zarządem rady miejskiej. 2) Konieczną jest rzeczą możliwie szybkie zorganizowanie okręgów opiekuńczych, odpowiadających liczbie cyrkułów policyjnych miasta Warszawy. Radę opiekuńczą okręgu stanowi grono mieszkańców danego cyrkułu, złożone z lekarzy i innych osób bez różnicy stanu, płci i wyznania, gotowych służyć Towarzystwu. Dla określenia obowiązków opieki powinna być opracowana specyalna instrukcya. Komisya nakreśliła tylko w zarysie obowiązki opiekunów: 1) Kwalifikowanie chorych do szpitali lub przytułków (czynnością tą powinni się zająć lekarze, upoważnieni przez Towarzystwo). 2) Pomaganie chorym w dostaniu się do szpitala (ułatwiając formalności, wnosząc deklaracye Tow. itd.). 3) Zapoznawanie się ze stanem materyalnym chorych i ich rodzin a ewentualnie wydawanie i określanie wysokości i rodzaju niezbędnej pomocy (wsparcia, obiady, kąpiele i lekarstwa). 4) Rozciąganie opieki nad chorymi, zarówno w domach, jak i po umieszczeniu w szpitalach. 5) Zbieranie statystyki chorych nerwowych i umysłowych. 6) Składanie Towarzystwu odpowiednich sprawozdań. W celu zorganizowania rad opiekuńczych komisya lekarska proponuje zarządowi zwrócić się do ludzi dobrej woli, nadto, wejść w porozumienie z Towarzystwem opieki nad nieuleczalnymi w celu zabezpieczenia bezpłatnej pomocy i wydawania lekarstw chorym, korzystającym z opieki Towarzystwa; wejść w porozumienie z zarządem przytułków celem uzyskania ułatwień w umieszczeniu chorych, podlegających opiece Towarzystwa.

Ażeby działalność była pożyteczną i mogła istotną ulgę przynieść społeczeństwu, potrzeba na to, jak zaznaczyliśmy powyżej, olbrzymich środków. Czy dadzą się one szybko zebrać? Ofiary publiczne, zbierane zwykłym sposobem, płyną bardzo wązkim strumykiem. Tutaj należałoby pewne warstwy społeczeństwu zobowiązać do opodatkowania się dochodowego. Przedewszystkiem do tego obowiązku powinni się poczuwać ci, dla których ludzie nieszczęśliwi stargali swe siły nerwowe i umysłowe. Dzisiejsze urządzenia bytu i warunki pracy wytwarzają znaczny procent inwalidów tego rodzaju. Nauka dowiodła, iż alkoholizm znacznie się przyczynia do obłędu i rozstroju nerwowego, badania społeczne zaś wykazały, iż rozwojowi alkoholizmu sprzyjają ogromnie uciążliwe warunki pracy i bytu. To wszystko trzeba mieć na względzie w powoływaniu różnych warstw ogółu do pomocy społecznej.

Zen. Piet.

W sprawie subjektów handlowych
I PANIEN SKLEPOWYCH.

I.

Komiwojażer, ów facecyonista, sypiący banalnemi anegdotami w wagonie, „kantorowicz," zadający szyku, „poskromiciel ludzi," lub rycerz łokcia, ileż razy był przedmiotem dowcipów dla fejletonistów, dostarczał tematu do fars scenicznych, zczasem jednak, gdy rozbudziło się sumienie publiczne, „kwestye społeczne" stały się modą w literaturze: powieściopisarze zaczęli wspominać o „białych niewolnikach," o „proletaryuszach w tużurku," opisywano „dni i noce w kantorze," losy mniej lub więcej romantyczne panien sklepowych. W rzeczy samej jest to temat poważny i zasługujący na uwagę.

Dzięki szerszemu zainteresowaniu się tą sprawą, rozpoczęto też tu i owdzie działalność filantropijną na korzyść owych białych niewolników. Zwłaszcza w Anglii i Ameryce, gdzie inicyatywa prywatna w sprawach publicznych jest najbardziej ruchliwą, ruch ten przybrał poważne rozmiary; powstały tam „stowarzyszenia spożywców," agitujące za tem, by publiczność kupowała tylko w sklepach, traktujących po ludzku personel sklepowy *). Zarazem ruch ten spowodował interwencyę państwową: w Anglii w 1899 r. wydano prawo, zmuszające właścicieli sklepów do urządzenia siedzeń dla personelu (*Seats fer shop assistans act*), podczas gdy dotąd właściciele sklepów wprost zabraniali subjektom siadać, nawet gdy niema kupujących w sklepie. Natomiast projekt prawa, regulującego czas roboczy subjektów przez nakaz wcześniejszego zamykania sklepów (*Shops early closing bill*), jakkolwiek już w r. 1895 został powierzony do rozpatrzenia komisyi parlamentarnej, dotąd nie doczekał się zatwierdzenia. Sprawę tę dotychczas uregulowano prawnie tylko w kantonach szwajcarskich Glarus i St. Gallen, gdzie prawo zabezpiecza subjektom spoczynek co najmniej dziesięciogodzinny bez przerwy. W Niemczech z d. 1 października r. b. weszło w życie prawo, nakazujące zamykanie sklepów o godzinie 9-ej wieczorem. Ten krok prawodawczy był skutkiem ankiety, urządzonej w r. 1892 przez komisyę parlamentarną dla zbadania położenia subjektów handlowych. Wyniki tej ankiety podaje w niedawno ogłoszonej książce doktór Paweł Adler **).

Stowarzyszenia subjektów handlowych, oraz kilka stowarzyszeń kupców, w których biorą udział zarówno subjekci, jak ich pryncypałowie, szturmowały do parlamentu już od bardzo dawna. Pomijając bowiem ruch w tym kierunku w r. 1848 wszczęty, od 1883 r. prowadzi się nieprzerwana agitacya. Dziewięć lat zatem czekali zainteresowani, zanim rząd i parlament przystąpiły do zbadania tej sprawy, a siedemnaście lat upłynęło od chwili, kiedy uczyniono pierwszy krok na drodze reformy. Komisya ograniczyła się do zbadania li tylko położenia właściwych

*) Patrz artykuł „Etyka spożywców" w *Prawdzie* nr. 11 z r. b.

**) *Die Lage der Handelungsgehilfen gemëinden Erhebung der Kommission für Arbeiterstatistik.* Münchener Volkswirthschaftliche Studien. Stuttgart, 1900.

SIOSTRA,

schyla się ku ziemi i, przycisnąwszy ręce do piersi, mówi szeptem:

Boże, bądź miłościw nam grzesznym...

MŁODZIENIEC.

Złe marzenia są tyranią i rozpustą duszy! Oto jest dobre marzenie: bez sił, nadarmo, w paroksyzmie myśleć o dniach i pracach tych dwojga; myśleć o ich przebudzeniach ze snu i o pierwszem spojrzeniu na okalające mury; myśleć o ich snach, któremi chłodny mrok zasłania to życie, kiedy się kończy dzień. Myśleć o matce ich! Widzieć twarz tej najbardziej występnej, oczy szelmy zamazane łzami, kadłub ociekający śluzom chorób, suche, w głupich pracach oszalałe ręce. Pozwalać, żeby, nie otwierając drzwi, wchodziły do naszego domu te przywidzenia, żeby deptały nasz sen szelestem chorych nóg po wspaniałym chodniku... Zezwolić, żeby w spazmach boleści rzucały się do naszych nóg, wołając o ratunek, żeby kamieniały przed naszą duszą te ciężkie, bezsilne, okrutne głowy i waliły się na jej piersi, jak marmury grobowe.

SIOSTRA,

podnosząc ku niemu oczy:

Kruk opuszcza dzieci swe i odlata. Bóg im wtedy strawę gotuje tułającym się po gnieździe tam i sam, gdy matka ich w dalekich polach zabita nie wraca. Z gnoju ich gniazda rodzą się motyle, przylatują na skrzydłach aż do ich dziobów otwartych i za pokarm im służą.

(Wstaje, odchodzi i znika na zakręcie uliczki).

* * *

Młodzieniec, gdy sam został, zapomina o rozmowie, która się toczyła, jakby w niej uczestniczył przed piętnastoma laty. Głowa jego znowu zwisła na dłoń zdrowej ręki. Dokładne wyobrażenie o tem, co się ma odbyć za chwilę, płuca, zda się, z piersi mu wyrwało. Lodowaty dech owionął twarz i posępny dreszcz uderzył go w ciemię czaszki.

Zwolna i ta świadomość ciągnącego momentu minęła. Szło wspomnienie. Błędne wspomnienie. Niby rozwiewne i upuszczone skrzydła chmur, co śladem burzy ciągną się bez sił przez leśne gąszcze na reglach, płynęła dusza, znękana wśród dzikiej wichury. Płynęła bez wiedzy i sił do okolicy bardzo dalekiej.

Oto idzie sam w łąkach rozległych. Z prawej strony ma nizinę przyrzeczną, z lewej suche, wzniesione niwy. Zwilgła ziemia kwiecistego smugu ugina się pod nogą. Tu i owdzie zdąża przez ścieżkę szlak mrówczy, który zapewne istniał już wówczas, gdy ta wydeptana dróżka łączyła ludzi, czczących przed wieloma wiekami święte dęby na wzgórzach, gdzie teraz chwieje się zboże. Jedyną, bardzo uderzającą w oczy nowością jest w tem miejscu brunatne, świeżo wyrzucone kretowisko. Naokół ścielą się wilgotne trawy, jedne ostre, jak krzywe noże, inne tak misterne, wątłe i wyzute ze znamion siły, jak kaprysy cierpienia. Zbryzgane pienistą, ostrą żółcią dzwonków, puszyste od liliowej babki, powleczone rdzawemi kępy smółek i centuryi, albo rzekami koniczyny — wyrywają z piersi zmarłe westchnienia. Spływa przed oczy mnóstwo kwiatuszków bezimiennych, bladożółtych albo naiwnie błękitnych, jakby je chłop wymyślił. Tu i owdzie stoją na pustych łodygach, które, podobno, zdradliwy sok zawierają, puszki ulatujące z najlżejszym wiatrem, jak gdyby były szczęściem człowieka. Gdzieindziej, tkwią na samej ścieżce źdźbła zboża, wyrosłe z ziarn zgubionych przez rękę siewcy, które choć padły w środku drogi, nie zostały zdeptane przez idących.

Z lewej strony kołysze się łan żyta. Ledwie się wykłosiło i barwę liliowej stali przybrało w upałach. Kłosy stoją jeszcze ku górze, obwieszone mnóstwem kwiatu. Słychać tylko świergolenie skowronków i gdzieś daleko, daleko na pylnej, piaszczystej drodze turkot rozeschniętego

subjektów handlowych i panien sklepowych. Charakterystycznym dla stosunków niemieckich jest fakt, że pomimo wielkiej liczby kobiet, o których losy tu chodziło, żadna kobieta nie została wezwaną do złożenia zeznań przed komisyą. W urzędowych bowiem Niemczech kobieta jest i pozostanie zapewne długo jeszcze istotą podrzędną, którą opiekować się należy, ale której zdania można nie słuchać.

Lecz zwróćmy się do wyników ankiety. Wykazała ona fakt znamienny, że dawny stosunek pomiędzy pryncypałem a subjektem w ostatnich czasach uległ radykalnej zmianie. Dawny kupiec uważał subjekta za swego towarzysza, traktował go, jak równego sobie, subjekt zaś najczęściej miał widoki stać się z czasem kupcem niezależnym. Dziś stosunek taki zachował się do pewnego stopnia pomiędzy „pryncypałem“ a t. z. „młodym człowiekiem“ z kantoru, lecz względem właściwego „subjekta“ sklepowego przybrał cechy stosunku, jaki panuje pomiędzy przedsiębiorcą w przemyśle a najmitą. Ślady „patryarchalnego“ stosunku pozostały jeszcze tam, gdzie subjekci otrzymują od właścicieli sklepów wikt i mieszkanie. Lecz i tu w większości wypadków niema już mowy o tem, by „młodzi ludzie“ byli uważani jako członkowie rodziny, przeciwnie, tam forma najmu daje pole najstraszniejszemu wyzyskowi. Subjekt taki, będący na każde zawołanie, nigdy nie ma wolnego czasu, z drugiej zaś strony nie dzieli on już stołu i mieszkania ze swym pracodawcą: często sypia na poddaszu lub w izbie, która jednocześnie służy za skład towarów; jada w sklepie, nie mając nawet określonych co do czasu pauz obiadowych. Wszyscy przesłuchani przez komisyę rzeczoznawcy ze strony subjektów, zgodnie orzekli, że subjekci, którzy uwolnili się od tego „patryarchalnego“ stosunku, są w lepszem położeniu. Ów rzekomo patryarchalny stosunek zachował się przedewszystkiem w małych miastach; subjekt wielkomiejski już rzadko zgadza się być popychadłem nietylko w sklepie, lecz nawet w rodzinie swego „chlebodawcy.“ W rzeczy samej trudno wyobrazić sobie smutniejszy i bardziej beznadziejny żywot, niż ten, jaki pędzi subjekt w małem miasteczku. Praca bywa ciężką, gdyż p. pryncypał dla oszczędności nie trzyma parobka do pomocy, trzeba dźwigać ciężary, skrzynie i beczki z towarami; praca trwa niepomiernie długo, gdyż sklep bywa otwarty od wczesnego ranka do późnej nocy. Dalej, praca ta odbywa się w niehygienicznych i przykrych warunkach — wśród zaduchu i wyziewów, przy dokuczliwem często zimnie, gdyż sklep w zimie nie bywa opalany. Po skończonej pracy subjekt nie ma nawet własnego kąta, gdzieby mógł odpocząć, nie wolno mu też wyjść z domu, gdyż to jest „niemile widziane,“ gdy chlebodawca jest człowiekiem „surowych, lecz zdrowych zasad.“ Płace zaś są tak nizkie, że o jakichkolwiek oszczędnościach niema mowy: subjekt starzeje się, pozostaje do grobowej deski „młodym człowiekiem,“ popychadłem sklepowem, jeżeli go przedtem nie wyrzucą na bruk. Wobec takiej doli los robotnika fabrycznego godny jest jeszcze zazdrości. A przecież, jakkolwiek wydaje się to bezgranicznie śmiesznem, istnieje pewna jeszcze duma zawodowa, każąca subjektowi obrażać się, gdy go postawią na równi z robotnikiem fabrycznym.

Lepiej nieco powodzi się subjektom w wielkiem mieście. Tu przynajmniej czas roboczy nie jest tak nieludzko długi — ów system patryarchalny przestał istnieć. Najbardziej dolegliwą wszakże jest tu kwestya zbyt nizkich zarobków, które w ostatnich czasach uległy obniżce, dzięki ogromnemu wzrostowi podaży pracy ze strony kobiet. Niestety, materyału cyfrowego, oświetlającego tę kwestyę, nie posiadamy, gdyż komisya nie wyzyskała sposobności, by przy ankiecie swojej taki materyał zebrać. Z innych źródeł zestawia Adler kilka cyfr, nie przedstawiających wszelako żadnej rękojmi co do dokładności. Z cyfr tych okazuje się, że przeciętna wysokość rocznej pensyi pracowników handlowych waha się pomiędzy 1,000—1,200 marek, a czasem dochodzi 1500—2,000 m., lecz te wyższe płace są dostępne tylko dla bardzo uzdolnionych ludzi, mogących zarazem pełnić funkcye „dekoratorów,“ „podróżnych“ itp. To też słuszne zapewne są słowa prof. Lexis'a: „Cała klasa subjektów handlowych nie pobiera płacy wyższej od tej, jaką pobierają dobrze płatni, wykwalifikowani wyrobnicy fabryczni, wyższe zaś wymagania pod względem np. ubrania i in., do których muszą się z konieczności stosować, stanowią dla nich specyalny ciężar.“ Nieco lepiej jesteśmy poinformowani co do płacy panien sklepowych. W stowarzyszeniu tych pracownic np. w Berlinie zbierano w ciągu kilku lat dane, z których wynika, że przeciętna pensya miesięczna dla sprzedawczyń wynosiła 57—60 mk., jako *maximum* podano 175 mk. miesięcznie. Przytem autor, opracowujący ten materyał, dochodzi do wniosku, że przeciętnie każda z pracownic bywa w roku $1^3/_4$ miesiąca bez zajęcia, gdyż zmieniają one z konieczności miejsce bardzo często, a nowe zwykle nie zaraz się trafia. Biorąc to w rachubę, obliczono przeciętny zarobek roczny dla panny sklepowej w Berlinie na 594 m. Wobec ogólnego poziomu kosztów utrzymania w Berlinie jest to, jak mówią Niemcy, „dosyć, by nie umrzeć, za mało, by żyć.“

Powracając do kwestyi, którą przedewszystkiem zajęła się komisya, kwestyi czasu roboczego, spostrzegamy tu charakterystyczne różnice w rozmaitych dzielnicach państwa. W południowo-zachodniej części Niemiec sklepy bywają otwierane później, niż we wschodnio-północnej. W Bawaryi np. i Wirtembergii zamykają sklepy o 9-ej, w Prusiech wschodnich — o 10-ej i 11-ej wieczorem. Zachodzi też różnica pomiędzy wielkiemi a małemi miastami — i to na niekorzyść ostatnich, pomimo że, jak wiadomo, w wielkich miastach ruch uliczny trwa znacznie dłużej. Wogóle większe sklepy wszędzie bywają zamykane wcześniej. Drobny zaś sklepikarz chce zarobić jeszcze „ostatni grosz“ i w pogoni za zarobkiem nie zna miary. Okazało się tedy, że np. sklepy spożywcze itp. bywają otwarte od godziny 5 rano (liczą na klientelę robotniczą) aż do późnego wieczoru.

Wielu właścicieli sklepów, jak o tem świadczą ich zeznania przed komisyą, przyszło do przekonania, że zbytnie przedłużenie czasu sprzedaży jest zgoła nieracyonalne, gdyż niekiedy oświetlenie sklepu kosztuje więcej, niż wynosi zysk ze sprzedaży. Próbowano tedy porozumieć się co do wcześniejszego zamykania. Lecz wtedy okazywało się zawsze, że kilku sklepikarzy usuwa się od solidarności, trzyma otwarte sklepy, licząc na to, że w ten sposób pozyskają względy klienteli. Dzięki tej nieprzyzwoitej konkurencyi, ogół sklepikarzy musiał powracać do dawnej praktyki. Większość przesłuchanych rzeczoznawców oświadczyła się za ograniczeniem czasu otwarcia sklepów, zasadniczej zaś opozycyi nie było.

Jednakże, gdy rezultaty obrad komisyi, zmuszające do reformy w tym kierunku, zostały ogłoszone, powstał alarm śród sklepikarzy. Zaczęto agitować przeciw re-

---

woza. Z martwych wzgórków, jakby dymem owianych przez mietlicę, z pomiędzy drzewin kaliny i wilczego łyka, gdzie między zielenią szczerzą się ku słońcu stosy głazów wyrzuconych z roli, płynie woń ziół, niosąca w sobie całe dnie, tygodnie, miesiące, lata młodości... Wzgardzony oset opala tam w słońcu kwiaty o barwie zorzy porannej, która, zlitowawszy się nad jego niedolą, zostawiła w nim odbicie swoje. Kolczasta gałąź dzikiej jeżyny mokra od rosy, obciążona czarnym owocem wysuwa się z gąszczów, niby drapieżna ręka, czyhająca na młode życie...

Zwiał wiatr z dalekiej strony tę samotnię, ukazał najlichszy szczegół, sennie spoczywający w przezroczystem oddaleniu.

Ta ścieżka prowadziła do miejsc miłości, do samotnych kwiatów między dzikiemi krzewami, które obwijał leśny chmiel. Na mgnienie oka wrócił się z przeszłości wszystek kształt życia bez wczoraj i bez jutra, zawisł bujając się, niby błękitny motyl nad łanem. Ukazały się oczy płonące od uczuć pod arkadami brwi, jakoby ognie święte u ołtarza bóstwa. Wróciła się nieskończoność wzruszenia, zachwyt co leży na sercu, a nie da się wymówić, wyśpiewać, ani wyjęczeć. Stanęło słońce, tamten wiatr jeszcze raz ucałował rozżarzone usta — kwiaty łąk i ciche zboża wstrzymały żywot swój, żeby serce mogło odetchnąć powietrzem jutrzni życia i napić się z tego źródła wieczności. Ale nim jeden moment upłynął, zadrżała w sercu psalmodya wiatru bieżącej godziny. Ozwał się w szumie liści jakgdyby głos ukryty, głos złego dnia, który nadszedł. I cały świat szczęścia zdruzgotany został przez senny jego szmer.

Gdzież się podziało szczęście, gdzież się podziało?

W cóż się obróciło zaczarowanie jednej istoty w drugą istotę?

Gdzież są słowa wyznań, gdzież są te prawdy czyste i proste, na które czekała wieczność? Gdzie się podziały uśmiechy i westchnienia wznioślejsze, niż słońce, księżyc i gwiazdy? Jakimże sposobem przestało istnieć to, co było bardziej rzeczywiste, niż ziemia, bardziej niewątpliwe, niż trwałość globy, morza i gór, bardziej ważne, niż byt wszystkiego, co jest do końca świata?

Jakby odpowiedź wzniosły się z głębi ducha wyziewy grobu. Towarzystwo zdruzgotanej ręki i żal z powodu jej utraty, żal fizyczny, zwierzęcy, wstrząsający raz za razem napełnił ciało. Młodzieniec przytulił do siebie rękę, którą miał stracić za chwilę i drżącemi wargami szeptał do niej puste dźwięki miłosne, wyzute z dawnego znaczenia. Oczy zapuszczone w czarną ziemię ujrzały dzieło straszliwe, którego świętokradzko dotknęły się były lekkie i strojne słowa. W dalekiem podglebiu taiła się sprawa, krew lodem ścinająca. Korzenie wzdęte od żywych, pulsujących soków, ruchliwe białe nici miękko obejmowały w dziedzińcu śmierci zgniłą głowę tego, co zasnął.

A na ten widok wszystka władza opuszcza ręce i głowę. Bezsilne palce próżnię dokoła się znalazły, zamiast podpory, na ciemię głowy zwalił się ciężar skał. Przed oczy falami spłynęła i osiadła sfera mroku i wśród boleści przelatującej dzień cofnął od nich zwolna wylękłą swoją białość. Wyszły z łona ciemności nieprzeliczone szeregi krzyżów żółtych o równem ramieniu i przestrzeń napełniły. Myśli rozpierzchły się, upadły i obróciły w proch. Wtedy zetknęła się z czołem, z ustami i piersią wiadomość krócej trwająca, niż jeden jęk, o czemś innem, innem nad wszelkie ludzkie wyrazy, o łonie chmury płynącej, o zdarzeniu, co za chwilę przez jeden błysk źrenicy trwać będzie. Krew żył runie w bramę zdradziecko zatrzaśniętą i bezwładne serce zwali się i zgruchoce pod jej naciskiem, jak dom zepchnięty z przyciesi i wyważony z węgłów przez trzęsienie ziemi. Pękną żyły ze zgrzytem, jakoby szyny z żelaza i świszczącemi ruchy polecą dokądś rozszarpane naczynia. W tem rozbiciu i końcu świata, z najeżonemi włosami, z oczyma rozlamującemi orbity swoje on, sam jeden, z wrzaskiem, który więdnie na wargach, zerwie się, żeby iść!

formie i wnet znalazły się pisma — konserwatywne i, po części, narodowo-liberalne — otwierające tej agitacyi swe szpalty. Oczywiście, sklepikarze, jak zwykle w takich razach, powoływali się na „interes publiczny.“ Przedewszystkiem więc wskazywano interes robotników, którzy muszą czynić zakupy po powrocie z fabryk. W istocie, jest to argument bezpodstawny: dziś w Niemczech kończą robotnicy zajęcia zwykle przed siódmą, a na zakup codziennych sprawunków, nawet w rzadkich wypadkach, gdzie cała rodzina jest zajęta w fabryce, godzina czasu wystarcza najzupełniej. Na sprawunki zaś nadzwyczajne — kupno ubrania, kapelusza, butów, mobli — robotnik znajdzie zawsze czas, np. w sobotę, kiedy praca kończy się w fabrykach wcześniej. Zapewne, reforma pociągnie za sobą tu i owdzie drobne niedogodności. Lecz drobnostek tych niepodobna brać w rachubę, skoro chodzi o ulżenie setkom tysięcy ludzi. O stratach kupców nie może być mowy, bo publiczność przywyknie niebawem do zmiany; chodzi więc o wykorzenienie szkodliwego zwyczaju, krzywdzącego sprzedawców, a wynikającego z niedbalstwa publiczności kupującej i z nadmiernej chciwości kupców.

Przytaczano też zwykły argument, powtarzany przy każdym kroku prawodawczym w kierunku skrócenia czasu roboczego. Skoro sklepy będą zamykane wcześniej, subjekci będą trwonili czas w knajpach, ulegną rozmaitym pokusom itp. Argument ten powtarza się zawsze i wszędzie i świadczy o tem, że glupota filisterska jest międzynarodową.

Niestety, agitacya trwożnych filistrów, przeciwników reform „z zasady,“ bezmyślnych sklepikarzy, drżących o „ostatni“ grosz, miała ten skutek, że parlament i rząd Rzeszy, zamiast godziny ósmej wieczorem, przyjął — dziewiątą, jako termin zamykania sklepów. Prócz tego nowe prawo orzeka, że w sklepach, gdzie są zatrudnieni dwaj lub więcej subjekci i uczniowie, muszą oni mieć spoczynek 11-godzinny bez przerwy. Co do otwierania sklepów, prawo przyzwala na bardzo wczesną godzinę — piątą rano. Oczywiście dla ogółu sklepów jest to godzina zbyt wczesna i przepis staje się zrozumiałym tylko wtedy, kiedy się zważy, że pewne sklepy rzeczywiście otwierane są tak wcześnie ze względu na klientelę wieśniaków, przybywających na targ o świcie. Racyonalniej zapewne byłoby dla tych nielicznych sklepów dopuścić wyjątki z prawa ogólnego, o ile zachodzi rzeczywista po temu potrzeba.

Bądź co bądź, reforma w Niemczech jest poważnym krokiem naprzód i bez wątpienia wywrze ona wpływ dodatni na personel sklepowy. Czytelnikom polskim powiadamy przy tej sposobności: *de te fabula narratur!* Warszawa rada chełpi się „złotem sercem.“ Byłaby tu piękna okazya, że istnieje ona nietylko w sprawozdaniach z balów dobroczynnych, gdyby zabrano się do tworzenia „związków spożywców“ i okazano właścicielom sklepów, że istnieje „etyka spożywców.“

Dr. J. B. Marchlewski.

Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

Paryż, w październiku

Wchodząc do pawilonu od jego właściwego frontu, spotykamy na prawo salkę, zawierającą czytelnię i wystawę prasy finlandzkiej. Na stole leżą tam różne katalogi i broszury oraz egzemplarze wspaniałego, pomnikowego, specyalnie z okazyi wystawy dokonanego wydawnictwa G. W. Edlunda w Helsingforsie p. t. „La Finlande au XIX s.,“ napisanego i ilustrowanego przez najwybitniejszych literatów, uczonych i artystów Szwedów i Finnów. Na ścianach rozwieszono numery pism, wychodzących w Finlandyi.

Pierwsze pismo zaczęło wychodzić w r. 1771, po szwedzku, w Abo, które posiadało już od roku 1640 uniwersytet i było ogniskiem umysłowego życia kraju. W roku 1776 zrobiono pierwszą próbę wydawania pisma po fińsku, ale pismo to po roku upadło. Szwedzkie w r. 1810 zamienione zostało na organ urzędowy, który też był przez dziesięć lat jedynym W r. 1820 zaczyna się większy ruch: występują na arenę tacy działacze, jak Franzén, Runeberg, Topelius, Lönnrot, zwłaszcza J. W. Sneltman, którego satyryczne fińskie pismo *Saima* (1854—46) wiele krwi napsuło przeciwnikom postępu. Cechami charakterystycznemi prasy finlandzkiej w tym okresie, aż do r. 1862, są: najpierw, jej charakter z konieczności prawie wyłącznie literacki; powtóre — niewielka objętość organów, z których każdy zwykle od pierwszej do ostatniej litery redagowany jest przez jednego człowieka. W r. 1862 dopiero zjawia się w Finlandyi pierwsze pismo codzienne, po szwedzku p. t. *Helsingfors Dagblad.* Potem warunki pozwalają już na szybki rozwój prasy w obydwóch językach ludności krajowej.

Daje się również zauważyć fakt znacznie szybszego wzrostu prasy fińskiej i w końcu wyprzedzenia przez nią szwedzkiej, chociaż od r. 1850 do 1860 ciężył nad prasą fińską zakaz drukowania po fińsku czegokolwiek, oprócz rzeczy religijnych i gospodarskich. W r. 1820 wychodzi ogółem 4 organy; 1 fiński, 2 szwedzkie; w r. 1830 - 8: 2 i 6: w 1840 — 13: 3 i 10; w r. 1850 — 13: 4 i 9; w 1860 — 28: 14 i 14; w 1870 — 33: 15 i 18. W r. 1872 wreszcie stosunek się odwraca: mamy 18 fińskich, a 17 tylko szwedzkich pism. Oto tablica dalszego wzrostu:

rok	pism fińsk.	szwedz.	razem
1880	36	21	57
1890	80	50	131
1898	132	80	212
1899	157	77	214 *)

Z początkiem r. 1900 liczba pism zmniejszyła się: 135+71=206.

Od r. 1870 do 1899 ilość wychodzących pism pomnożyła się 6 do 7 razy; szwedzkich — 4 razy, fińskich — prawie 9. Ale aż do roku 1890 szwedzkie pisma miały nad fińskiemi przewagę co do ilości ogólnej numerów wydawanych w ciągu roku. Pierwszy dziennik po fińsku wychodzi dopiero od r. 1869 (*Suometar*) i to z przerwami. Co do ilości egzemplarzy, cyfry ogólnej nie znalazłem; poszczególne są bardzo wysokie. Tak np. „Hufvudstadsbladet“ bije 15.500 egzemplarzy, „Urosi Suometar“ 15.000, „Aamulehti“ — 9,500, „Kaiku“ — 7,000; pisma małego formatu są bardzo poczytne: „Turun Lehti“ ma 13,000 abonentów, a miesięcznik fiński, „Kylakirjaston Kuvalehti“ („Ilustrowana biblioteka wiejska“) doszedł do 20,000. Bardzo jest rozwinięta prasa prowincyonalna; obecnie na 37 miast finlandzkich jest już tylko jedno, maleńki Naidendal, które nie ma swego własnego organu. Po za granicami Finlandyi wreszcie wychodzą w języku fińskim dwa pisma w Petersburgu, jedno

*) Cztery pisma wychodzą w obu językach.

Dźwigając na piersiach łańcuch gór, wyciągniętemi rękoma szukać będzie ręki swego żywota...

Na chwilę wzmógł się.

Przytulił twarz do pnia brzozy i objął go lewą ręką. Zagasłe oczy szukały...

Ostatnie, samotne ich spojrzenie przywarło do wątłych liści. Młode liście zaseplenily, drgnęły młodo konary — i tajemnicze westchnienie spłynęło, jak ciężka łza z wiszących gałęzi.

Ale co wyrzekły w mowie swej, co wyrzekły...

Wówczas tak się stało, jakby ktoś z trudem nadchodził w udręczeniu, w pośpiechu, nie mając chwili jednej na przełknięcie śliny. A z twarzy istoty tej nie można było rozpoznać, tylko niejaki jej obraz snuł się przed źrenicami. Młodzieniec słyszał szorstki szelest nóg bosych prędko, raz za razem sunących po kamiennym chodniku. Wytężywszy wzrok w głąb siebie, ujrzał z mozołem siedmioletnią dziewczynę w szmacisku rozdartem na plecach, która dźwigała na lewej ręce małe, śmierdzące dziecko. Rączka jego czerwona nieruchomo trzymała się za szyję siostry. Oczy dwojga marzydeł wytężone i rozwarte stanęły przed nim, świecąc się po-środ ciemności, jak płomienie gromnic.

* *

SIOSTRA MARTA,

ukazuje się na zakręcie uliczki. Szybko nadchodząc, mówi:

Już czas! Czekają...

MŁODZIENIEC,

wstaje z ławki.

Nareszcie.

SIOSTRA.

Niech pan tylko będzie dobrej myśli...

MŁODZIENIEC,

Jestem dobrej myśli.

SIOSTRA.

Jutro będziemy się wspólnie wyśmiewać z bieżącej godziny.

MŁODZIENIEC.

O, tak, tak... Gdyby jednakże... Czynię cię, siostro, wykonawczynią mego testamentu.

SIOSTRA,

idąc tuż za nim, mówi z cicha:

„Wzywaj mię w dzień utrapienia...“

MŁODZIENIEC.

Czuję w sobie wczorajszą siłę.

SIOSTRA.

Wczorajszą...

MŁODZIENIEC.

Nie mogę tego wyrazić słowami... Wcale nie wiem, co to jest i jak się nazywa. Może to spokój, może męztwo, może wielka minuta bohaterów, a może nizki, niewolniczy upadek twarzą na ziemię...

* *

Siostra zatrzymuje się we drzwiach szpitala.

Młodzieniec wstępuje na ciasne, wydeptane schody z cegły, kręto idące w górę.

Uśmiech, wesoły, wyniosły, wspaniały, pański zakwita na jego wargach. Oczy przymrużone i zasłane łzami nie widzą nikogo, oprócz widziadła dziewczynki z chłopcem na ręku, która przed nim szybko biegnie, szeleszcząc bosemi nogami. W głębi korytarza, którego ściany gną się i chwieją, otwarto drzwi. Staje w nich jeden z asystentów w białym fartuchu.

Młodzieniec wchodzi na salę zgrabnym i wytwornym ukłonem witając profesora i lekarzy, zebranych dokoła operacyjnego stołu.

w Szwecyi i trzy w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn.

Dziennikarze finlandcy mają kasę zapomogi i emerytalną i z dumą przytaczają, jako przykład życzliwości społeczeństwa dla prasy, ten fakt, że d. 4 listopada r. z., gdy w całym kraju jednocześnie urządzono przedstawienia, loterye itp. na dochód tej kasy, ten „dzień prasowy" przyniósł 145,000 fr. dochodu.

Dalej uderza w pawilonie finlandzkim bardzo znaczna ilość wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, które występują z rezultatami swych prac.

Najdawniejszem prawie, bo istniejącem od r. 1821, jest towarzystwo „pro Fauna et Flora fennica." Znaczne swoje zbiory przekazało ono w r. 1858 uniwersytetowi, którego muzeum powiększa też co rok nowymi zbiorami swych stypendystów; wydało 14 zeszytów „notatek," 25 zeszytów „dzieł" i 16 zeszytów „akt," a prowadzi korespondencyę z 250 towarzystwami zagranicznemi. Oddawna też, bo od r. 1835, istnieje towarzystwo lekarzy finlandzkich, mające dziś około 250 członków, wydające od r. 1841 miesięczny organ i urządzające od r. 1866 co dwa lata zjazdy, których obrady i decyzye wywarły poważny wpływ na administracyę kraju pod względem lekarskim. W r. 1881 powstało i drugie towarzystwo lekarskie, zwane „Duodecim," liczące do 200 członków i mające na celu rozwój nietylko medycyny samej, ale i języka i literatury specyalnie fińskiej; wydaje ono dwa pisma. Od r. 1838 czynne jest w Helsingforsie „Towarzystwo naukowe finlandzkie," raczej — akademia, złożona z trzech sekcyj: fizyko-matematycznej, przyrodniczej i historyczno-filologicznej, a w każdej sekcyi — z 15 członków wybieralnych. Od r. 1880 towarzystwo to zarządza centralnym instytutem meteorologicznym i jego wydawnictwami. Wydaje oprócz tego „Akta" (24 tomy in 4-o), „Sprawozdania" (41 tomów), „Studya o naturze i budowie Finlandyi" (57 tomów). Rząd udziela zapomogi, z której towarzystwo rozdaje co trzy lata nagrody za dzieła naukowe.

Historyą kraju zajmują się aż trzy towarzystwa. Pierwsze, ogólno-historyczne (od r. 1875) jest także rodzajem akademii z 24 obieralnymi członkami; prowadzi dwa wydawnictwa: „Archiwum" (16 tomów) i „Akta" (6 t.). Od r. 1891 istnieje towarzystwo w celu badania historyi kościoła w Finlandyi, a od r. 1884 — specyalne w celu badania dziejów miasta Abo. Ma ono 136 członków i zarządza muzeum historycznem miejskiem.

Dwa towarzystwa geograficzne powstały jednocześnie w r. 1888. Jedno ma na celu głównie skupienie przyjaciół geografii i popieranie studyów geograficznych. Mając 241 członków, płacących składki niewielkie, zapomogę rządową i dary nadzwyczajne, wydaje dwumiesięczny przegląd, daje zapomogi na poszukiwania geograficzne w kraju, urządza wystawy krajowe, zajmuje się zaopatrywaniem szkół w należyte pomoce naukowe, bierze udział w kongresach międzynarodowych, posiada wreszcie w Helsingforsie muzeum z panoramami, mapami wypukłemi itd. Drugie — jest towarzystwem uczonych; członkowie, w liczbie 80, są wybierani przez kolegów, a rząd pokrywa wszelkie koszty wydawnictw. Towarzystwo to wystawia wspaniałą mapę Finlandyi, a podczas kongresu geograficznego w r. 1895 w Londynie urządziło całą specyalną wystawę. Wydaje ono starannie redagowany organ p. t. „Fennia" (dotąd 17 tomów), gdzie pomieszczane są rozprawy w językach szwedzkim i fińskim ze streszczeniami francuskiemi i niemieckiemi, albo też wprost w tych ostatnich językach pisane. Szczególnie wiele zrobiło to towarzystwo w zakresie geologii Finlandyi; istnieje zresztą oprócz tego specyalna, rządowa komisya geologiczna, która wystawia całą kolekcyę map porównawczych i wypukłych fotografii, okazów skał itd.

Również rządową instytucyą jest Komisya archeologiczna, której od r. 1884 powierzono pieczę nad starożytnościami krajowemi. Odszukuje ona je, bada, opisuje wciąga do katalogów i map, strzeże od zniszczenia. W pawilonie można oglądać sporo reprodukcyj przedhistorycznych pomników Finlandyi. (Obok tej komisyi jednak, a nawet dawniej od niej, bo od roku 1870, istnieje prywatne towarzystwo archeologiczne, które zajmuje się też starożytnościami przedhistorycznemi, ale za główny cel sobie obrało badanie kościołów finlandzkich z punktu widzenia historyi sztuki. Przeszukano już około 200 kościołów, zanotowano i reprodukowano do 3000 malowideł, rzeźb w drzewie, naczyń, haftów itp.) W związku z tą dziedziną archeologii stoi też działalność towarzystwa finno-ugryjskiego, badającego mowę, zabytki, dzieje ludów tego szczepu (453 członków, 130,000 fr. majątku; istnieje od roku 1883). Helsingforskie Towarzystwo „neo-filozoficzne" (od 1887 r., 100 czł.) oddaje się studyom nad językami europejskimi: wydaje po niemiecku „Neuphilologische Mittheilung."

Literackich towarzystw jest naturalnie dwa: fińskie i finlandzko-szwedzkie. Pierwsze ma długą i sławną przeszłość. Od r. 1831 gromadzi materyały folklorystyczne, jedne z najbogatszych w świecie; wydaje „Biuletyn" (dotąd 92 tomy) i rocznik „Suomi" (57 t.). W 1885 r. dopiero, pod wpływem współzawodnictwa cywilizacyjnego między dwoma narodowościami krajowemi powstało „Towarzystwo finlandzkie literatury szwedzkiej," które zbiera zabytki kultury szwedzkiej w tej dawnej prowincyi i stara się o rozpowszechnienie i popieranie języka szwedzkiego. Towarzystwo to wydało „Historyę nauk na uniwersytecie w Abo" od r. 1640, daty założenia, do 1827, kiedy uniwersytet, po wielkim pożarze, przeniesiono do Helsingforsu. Za to towarzystwo sztuk pięknych jest tylko jedno. Założone w r. 1846, urządza ono wystawy, posiada stałą galeryę w Helsingforsie, którą zwiedza rocznie 12,000 osób, oraz kieruje dwiema szkołami sztuk pięknych w Helsingforsie i w Abo, na które zresztą łoży rząd; kształciło się w nich w r. 1809 uczniów 33, uczennic 57, wielu— bezpłatnie.

Naukowe towarzystwa: prawne ma 400 czł. (od r. 1862), ekonomiczne — 150 (od 1891). Prócz tego jednak w zakresie ekonomicznym istnieje instytucya bardzo stara, bo datująca jeszcze od roku 1797, t. z. „Cesarskie finlandzkie towarzystwo gospodarstwa domowego," którego działalność stuletnia polegała nietylko na popieraniu wszelkich gałęzi przemysłu i handlu, wprowadzania nowych metod do rolnictwa, przemysłu, robót ręcznych, handlu i żeglugi, ale też na rozwijaniu nauk ścisłych i stosowanych, na podnoszeniu stanu hygienicznego kraju, ono np. położyło największe zasługi około wprowadzenia szczepienia ospy. W r. 1874 towarzystwo założyło w Abo „Słojdskolę," czyli szkołę robót ręcznych, w której około 90 uczniów i uczennic uczy się krawiectwa, szycia bielizny, a przedewszystkiem — tkactwa; wystawione tkaniny świadczą o wysokim poziomie sztuki tkackiej. Istnieje też osobne towarzystwo „przyjaciół robót ręcznych"; na współkę z towarzystwem akcyjnem „Iris" wystawia ono cały pokój, umeblowany w ludowym stylu fińskim. — I jeszcze jedno towarzystwo „sztuk przemysłowych" urządza od r. 1875 wystawy wyrobów krajowych, utrzymuje w Helsingforsie muzeum przemysłowe, bibliotekę oraz „szkołę centralną," mającą za zadanie wyrabiać smak i poczucie piękna i kształcić przyszłych nauczycieli dla szkół rzemieślniczych. W r. 1899 miała ta szkoła 23 nauczycieli i 449 wychowańców; wystawia ładne wyroby tych ostatnich: rzeźby na drzewie, malowidła na porcelanie, wyszywania na skórze, rysunki itp.

Wspomnijmy jeszcze o towarzystwach: kobiecem, które ma 14 filij i 780 członkiń; Tow. opieki nad zwierzętami, założonem w r. 1874 przez poetę Topeliusa i rozgałęzionem dziś prawie we wszystkich miastach w kraju; Tow. turystów, które ma 2,200 członków, zakłada oberże, stacye, pilnuje komunikacyi, wydaje pismo i przewodniki po kraju w różnych obcych językach; — i przejdziemy do ciekawej dziedziny szkolnictwa, do której nas już zresztą wprowadzają wymienione wyżej towarzystwa szkolno-przemysłowe.

Kazimierz Krauz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Szkodliwe zabiegi.

Od wielu lat co pewien czas spotykamy w pismach doniesienia, że warszawski oddział Towarzystwa racyonalnego polowania stara się u władzy o ograniczenie liczby pozwoleń na broń myśliwską. Zabiegi te nie osiągnęły dotychczas zamierzonego skutku, ale — jak czytamy w gazetach — znowu zostały podjęte. Sprawa ta wymaga naprzód komentarza, a następnie protestu. Nie ulega wątpliwości, że nasz zwierzostan jest polem działań rabunkowem i nie daje nam tych korzyści, jakie mógłby dawać i jakie przynosi gdzieindziej. Przyczyną tego jest z jednej strony niedbalstwo ziemian, a z drugiej — ogromnie rozpowszechnione kłusownictwo. Jeżeli właściciele folwarków nie dbają o ochronę zwierzyny i pozwalają zarówno sobie, jak swoim znajomym i nieznajomym tępić ją niemiłosiernie aż do ostatnich resztek; jeżeli w każdej wsi kilku chłopów, a w każdem miasteczku gromada najrozmaitszego rodzaju amatorów ma utajone strzelby, z któremi mniej lub więcej skrycie wybiega na łowy, to naturalnie o rozmnożeniu chociażby tylko zajęcy i kuropatw nie może być mowy. Ale obok tego zjawiska spostrzegamy inne, mianowicie, podczas gdy w miastach małych i wielkich ilość pozwoleń na broń myśliwską jest znaczna, po wsiach— bardzo skąpa, podczas gdy adwokaci, lekarze, przemysłowcy, kupcy itd. zaopatrzeni są w odpowiednie bilety, właściciele folwarków i osad, dzierżawcy, rządcy i oficyaliści nieraz długo i daremnie starają się o nie. Skutkiem tego prawo polowania u nas służy w wyższej mierze ludziom nieposiadającym ziemi, niż posiadającym ją. Jest to stosunek nienormalny. Rzecz prosta, że ponieważ zwierzyna stanowi produkt gospodarstwa rolnego, a powinna stanowić jedno ze źródeł jego dochodu, więc broń myśliwską należałoby uważać — jak pług lub kosę — za narzędzie, do którego szczególne prawo ma właściciel lub użytkownik ziemi.

Tutejszy oddział Tow. racyonalnego polowania liczy w swem gronie bardzo niewielu członków tej ostatniej kategoryi, przeważnie zaś należą do niego przemysłowcy, kupcy, adwokaci, lekarze itd. Dzierżawi ono już dziś ogromne obszary, na których używa myśliwskich rozrywek, a chciałoby zagarnąć jeszcze większe przestrzenie. Ponieważ zaś w tem dążeniu napotyka opór, więc pragnęłoby go złamać ograniczeniem pozwoleń na broń. Im mniej będzie strzelb, tem łatwiej i taniej wynajmie ono od obywateli ziemskich i włościan ich grunta, a rozszerzając swe rewiry, po-

woli zyska monopol myśliwski w całym kraju. Otóż przeciwko temu apetytowi należy zaprotestować. Rozbrojenie kłusowników byłoby wielkiem dobrodziejstwem, ale jeżeli chodzi o broń użytkową, to należałoby jej posiadanie ograniczyć w miastach, a rozszerzyć po wsiach. W pierwszych jest ona sprzętem zbytku i zabawy, a w drugich narzędziem gospodarczem i bardzo często obronnem. Nic a nic kraj na tem nie straci, owszem, dużo zyska, gdy rozmaici *sonntagsjägerzy* zostaną pozbawieni dubeltówek, ale odebranie ich ziemianom byłoby niesprawiedliwością.

Nemezys.

Kiedy przed czterema laty *Prawda* wyprowadziła na widok publiczny wiejskiego chłopczynę z pod Ciechanowa, Bolesława Biegasa, który zdradzał wielkie zdolności rzeźbiarskie i kiedy zaczęła zbierać środki na wykształcenie go, rzucił się na nas cały rój szerszeni dziennikarskich, kąsając, kłując, brzęcząc. Czego nie zmyśliły i nie powiedziały te zacne istoty, których głównym celem życia jest zapuszczać jadowite żądła w cudze starania i prace, niezwiązane z ich własnem gniazdem! Zakwestyonowano nietylko talent Biegasa i autorstwo jego utworów, ale nawet jego pochodzenie, wiek, nazwisko, a wreszcie, jako *coup de grace*, wyciągnięto ks. Rzewnickiego, który chwilowo zajął się chłopcem, i p. Panasiuka, który go miał w terminie i wydalił, przysądzając im zasługę wykształcenia go w snycerstwie i „naukach." Cały ten atak, który trwał przez parę miesięcy, był obliczony na sparaliżowanie naszych starań i osłabienie ofiarności protektorów. Mimo wszakże natężenia energii i szlachetnej gorliwości bojowników, nie udał się. Gdy Towarzystwo zachęty (sic!) nie chciało dać przytułku rzeźbom Biegasa, wystawiliśmy je w księgarni Wendego i przy pomocy jego najżyczliwszego opiekuna, dr. Rajkowskiego, zebraliśmy fundusz, który umożliwił chłopcu wyjazd do Krakowa, do tamtejszej szkoły sztuk pięknych, gdzie dotąd pod ojcowskiem skrzydłem prof. Bujwida i kierownictwem Laszczki się kształci. Powoli gwar ucichł — i oto co dziś pisze sprawozdawca *Kuryera warszawskiego* (nienależącego zresztą do ówczesnej napaści) o pracach Biegasa, wystawionych w salonie Krywulta:

> Ale ten Biegas nie zawiódł nadziei. Pamiętamy wszyscy to „cudowne dziecko," *odkryte nie wiem już przez kogo* (nie gniewamy się o to — *Red.*) Jedni wróżyli Bóg wie co pastuchowi genialnemu, inni uśmiechali się sceptycznie. Przyznaję otwarcie, że do ostatnich i ja należałem. Tyle cudownych dzieci przesuwało się koło mnie i marniało na pierwszych szczeblach artyzmu. Czyż mi się dziwić możecie?
>
> A jednak ten Biegas idzie coraz wyżej. Mniejsza o technikę jeszcze surową, mniejsza o chaos fantazyi. Tam całą istotę przenika moc tajemnicza i jest jakieś parcie potężne, któreby w glinę wtłoczyć pragnęło tak wiele, że martwy materyał ogromu tego pomieścić nie może i wywiera w swych kształtach szkicowych wrażenie urwanego poematu, gdy pod naciskiem myśli i uczuć struny pękają na lirze. Trzebaby tu może połączyć rzeźbę z muzyką i poezyą, aby w ramach sztuki wypowiedzieć wszystko, co temu „chłopcu" jak wielka błyskawica lata po komórkach mózgu.
>
> Najsilniejsze wrażenie pośród tych szkiców rzeźbionych, których znaczenie przeczuwa się raczej, niż odgaduje, wywarł na mnie „Początek świata," coś niby bóstwo olbrzymie, wykradzione z świątyni pogańskiej, z oczyma wiecznej zagadki, opierające swe ręce na głowach dwojga istot ludzkich, złączonych w uścisku. Wszystko to wyrażone jest w grubych zarysach, a jednak bije z tej kompozycyi ogromny majestat wszechpotężnego „Stań się," z którego rodzi się miłość.
>
> Albo taki „Duch łez," zdumiewający potęgą swojej prostoty. Jak ta dziewczyna wiejska patrzy! Jaki ten smutek jest czysty, głęboki, ogromny w swej niezmąconej naiwności. W poezyi nowoczesnej nigdy takich łez nie widziałem. Słyszałem zgrzyty, miotania się, bluźnierstwa i jęki, ale pragnąłem zawsze, aby mi taką łzę pokazano, łzę olbrzyma miłości w chłopskiej siermiędze.
>
> I bodaj taki poeta zapłakał mi nad tą „Ludzkością," która tam pośród rzeźb Biegasa ukazuje się, jak młody chłopczyna, skrępowany i zgnieciony przez gromadę drapieżnych potworów. Hej! nogi słońce tam w górze, a szatany zmysłów i pożądań ziemskich opasują chłopca kleszczami strasznemi i w pył niziny go wloką. Stara tragedya. Sto razy sztuka zaklinała ją w słowa i kształty, ale idźcie i patrzcie, jak indywidualnie ten chłop artysta ją wcielił, taki prosty a taki ponury.
>
> Tylko nie szukajcie tam form cyzelowanych, nie szukajcie wirtuozowstwa i nie szukajcie prawdy — tej z upozowanego modelu. Oto mówi do nas wprost wyjątkowa indywidualność i tej indywidualności hołd dzisiaj oddaję.

Nemezys niedługo kazała na siebie czekać. Jakże dziś wobec niej wyglądają te ukłucia i kąsania nas za „wyszrubowanego Biegulskiego," z którego nie miał pociechy ani ks. Rzewnicki, ani p. Panasiuk? Całe szczęście dla owadów, że one nie mają ani wstydu, ani pamięci.

Zmarnowane skarby.

Od paru miesięcy można w antykwarniach warszawskich za bezcen nabyć książki, niekiedy znacznej wartości. Dzisiaj przerzedziły się, a nawet prawie zupełnie zostały wyprzedane. Na jednej z nich oglądałem uwagi, robione ręką zmarłego właściciela, jednego z poważniejszych przedstawicieli naszej nauki. Na innych są dedykacye autorów, nieraz pierwszorzędnej sławy uczonych europejskich, zrobione temu samemu badaczowi, przedwcześnie zgasłemu. Niektóre z nich zostały nabyte za kilka kopiejek od antykwaryuszów, którzy prawdopodobnie kupowali je, jako makulaturę, po parę kopiejek za funt. Paryski lub lipski antykwaryusz dałby za wiele książek, przeze mnie kupionych, cenę 10—20 razy wyższą, gdyby spadkobiercy zwrócili się do niego!

Ale nie chodzi nam o wytykanie komuś nieumiejętności frymarczenia pamiątkami, które, naszem zdaniem, dla pozostałej rodziny powinny posiadać jakąś wartość pamiątkową. Sprawdza się tutaj twierdzenie, iż wielcy ludzie rzadko cieszą się szacunkiem swoich kucharek i wogóle bezpośredniego otoczenia. Raczej pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na inną rzecz. Istnieją u nas zbiory prywatne książek, pamiątek archeologicznych. Ktoś całe życie gromadzi je z zapałem: a gdy umrze, dobytek jego idzie na marne, sprzedany za paręset rubli przekupniom. Mogą zdarzać się wyjątki, ale niestety trwonienie jest u nas zasadą. Czy nie należałoby miłośnikom zapobiedz takiemu rozpraszaniu pamiątek? Przekazując je testamentem którejkolwiek bibliotece lub muzeum, pozbawią rodzinę, nieraz zamożną, paruset rubli, a więc jej nie zubożą, spełnią zaś czyn obywatelski. Biblioteka zawsze znajdzie środki wymiany duplikatów, a nasze społeczeństwo, tak ubogie w zasoby studyów, otrzyma zasiłek poważny. Badacze i miłośnicy, zastanówcie się nad tem. Inaczej — możecie doczekać się, iż po waszej śmierci przekupień odezwie się, jak do mnie: „gdyby takich panów, jak prof. X, paru rocznie umierało, człowiek miałby się lepiej!"

Muzeum miejskie.

Przeszło trzy lata temu wyraziliśmy w *Prawdzie* życzenie, aby Warszawa doczekała się wreszcie chociażby tak skromnego muzeum miejskiego, jakie posiadają ubogie nawet miasta w Europie. Przypominaliśmy zbiory po b. szkole sztuk pięknych, oraz kolekcye Tow. Zachęty, które mogłyby utworzyć zawiązek takiej instytucyi. Kilka miesięcy później myśl ta została poruszoną na łamach *Kuryerów*. Odtąd o muzeum mówiono coraz więcej, aż oto w ostatnich tygodniach myśl z bagniska gnijących projektów wydostawać się zaczęła na pewniejszy grunt rzeczywistości. Powiadamy „zaczęła," gdyż tej wystawy czasowej, jaką mamy na Wierzbowej, nie można jeszcze uważać za instytucyę. Lokal niewygodny, byt materyalny nie zabezpieczony, w całem urządzeniu pewna dorywczość i przypadkowość nie dają jeszcze rękojmi pomyślnego jej rozwoju. W każdym razie sama kolekcya, jakkolwiek nie bogata, jest już ciekawą i dość pouczającą. Niema tu rzeczy wyjątkowych, arcydzieł wielkich, są jednak takie, które człowiekowi, interesującemu się sztuką a niemającemu możności poznania galeryj zagranicznych, pozwalają wyrobić sobie pewne pojęcie o drodze, którą dążył rozwój malarstwa. Brak jeszcze katalogu rozumowanego, zawierającego objaśnienia bardziej wyczerpujące, niż te notatki chronologiczne, któremi w obecnym opatrzono tytuły.

Początek jest dokonany. Należy teraz pomyśleć, jak to muzeum powinno być prowadzone. Jesteśmy społeczeństwem ubogiem, w budżecie wydatków naszych sztuka, niestety, nie może zająć jednego z miejsc pierwszych. Wielkie dzieła, twory wiekopomne, już dawno zostały między galeryami świata rozchwytane, nie powinniśmy więc gonić za unikatami (o podejrzanej, zresztą, nieraz autentyczności), bo nas na to nie stać! Nie odbierzemy Watykanowi jego starych i nowszych skarbów, nie ograbimy Uffizyi, nie odkupimy od Luwru Wenery Milońskiej, ani od Drezna jego Madonny Sykstyńskiej. Wymagania nasze z konieczności muszą być skromniejsze, a dążenia powinny być inne. Powinniśmy pamiętać, że nasza sztuka własna dotąd, z wyjątkiem Krakowa, niema ani jednego kąta swojego, ani jednego przytułku. Zapoznanie się z jej dziejami, tworami i rozwojem w warunkach obecnych jest prawie niemożliwem. Nie posiadamy ani jednego zbioru, który byłby w stanie dać nam o niej jakiekolwiek dokładniejsze pojęcie. Tę lukę, ten brak powinno zapełnić nowe muzeum. Mamy już zaląźek tej przyszłej galeryi sztuki polskiej; mamy Czechowicza, Smuglewicza, Orłowskiego, Bacciarellego, Lampiego (ojca), Topolskiego, Brodowskiego (doskonały portret), Hadziewicza i in.; należy teraz kolekcyę tę dopełniać, zbierając dzieła artystów dawniejszych i nowszych aż do współczesnych nam, tworzących i żyjących w dobie obecnej. Powoli stworzymy w ten sposób historyę poglądową sztuki naszej, nieocenioną skarbnicę dla przyszłego jej badacza. Jednocześnie zaś spełnimy naszą powinność mecenasowską względem niewrażliwego dotąd na piękno ogółu naszego i względem samej sztuki, borykającej się dotyczczas z obojętnością społeczeństwa i z nędzą własną.

Oto jedyne dwa cele, które muzeum miejskie powinno mieć koniecznie na względzie.

Towarzystwo melioracyjne.

Na listopadowem posiedzeniu sekcyi rolnej (w ubiegły poniedziałek) p. Karszo-Siedlewski w osobnym referacie poruszył doniosłą sprawę, której urzeczywistnienie może być ogromną dźwignią dla rolnictwa całego kraju. Prelegent przedewszystkiem zaznaczył rozbieżność w praktykowaniu u nas systemów melioracyjnych. Wogóle melioracye rolne są niesłychanie kosztowne skutkiem tego, że rolnicy nasi nie posiadają żadnej organizacyi w tej mierze, lecz są oddani na łaskę biur melioracyjnych, które nie mogą, z natury rzeczy, udzielać rolnikom żadnych wskazówek, jakie mianowicie melioracye należy przeprowadzić w danych warunkach i w danych okolicach kraju. Podejmują się natomiast robót za ceny bardzo wygórowane, o których wysokości dadzą pewne pojęcie cyfry porównawcze. Poznańska spółka melioracyjna za melioracye, dokonane na jednym morgu gruntu pobiera 25 rb. 75 kop. Koszt robót, dokonanych na tej samej przestrzeni przez firmy prywatne, wynosi 39 rb. Pomijając już znacznie niższy koszt robót, dokonywanych przez spółkę, trzeba zaznaczyć jeszcze ten ważny fakt, że spółka poznańska w pierwszych

latach istnienia dawała swym członkom 30% czystego zysku i 15% od pełnego kapitału. Teraz daje 18% zysku i 10% od pełnego kapitału, dlatego, że spółka uważała dochód poprzedni za zbyt wysoki i postanowiła go zniżyć, deklarując wykonywanie robót za ceny znacznie niższe, niż poprzednio. Widzimy tedy, jakie ma doniosło znaczenie spółka melioracyjna w Poznańskiem. Na niej powinno się wzorować nasze Towarzystwo melioracyjne, proponowane przez p. Karszo-Siedlewskiego. Oczywiście warunki w Królestwie Polskiem są inne, niż w Poznańskiem. Posiadamy, bogactwa dotychczas niewyzyskane, jak np. torfowiska. Trzeba więc liczyć, że Towarzystwo melioracyjne u nas musi mieć szerszy zakres działalności, a więc i kapitał większy musi posiadać. Z tego względu projektodawca radzi przedsięwziąć starania, ażeby sfery właściwe przyznały Królestwu Polskiemu kredyt melioracyjny, stworzony już dla Cesarstwa. Sprawa jest tak doniosła, że nawet gdyby zawiodły zabiegi w tym zakresie, trzeba koniecznie postarać się o fundusz z innych źródeł, chociażby z pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Sekcya rolna przyjęła tę sprawę bardzo poważnie i postanowiła natychmiast rozpocząć już pracę około stworzenia nowej instytucyi. W tym celu powołała nową delegacyę melioracyjną, złożoną z pp.: Karszo-Siedlewskiego, Sempołowskiego, B. Grabskiego, Jędrzejewskiego i Wernickiego.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYCZYNEK DO PRAHISTORYI POLSKIEJ.

Bojowie i kapłani pogańscy.

Do odcyfrowania zagadki, zwanej Swiatowitem, Świętym Witem itd. p. A. J. Parczewski *) napisał nowy przyczynek. Razu jednego powracał z Sobót. Było to podczas parnej, letniej nocy. Na łące ukazał się błędny ognik, na który wskazując woźnica, rodowity Kaszub, odezwał się: swanty wid (święty ognik). To podsunęło p. Parczewskiemu myśl, iż i Swiętowit arkoński (używam pisowni, najbliższej źródeł kronikarskich) był niczem innem, tylko upostaciowaniem światłości. Jasność i wogóle światłość były czczone w tamtych okolicach w wielorakiej formie: jako jasność wiosenna (Jarowit, kronikarski Gerowit), to jako pierwsze światło (Perowit), to wreszcie jako święta jasność. Swiętowita tłomaczono dotychczas bardzo rozmaicie, co ujawniło się w pisowni jego nazwy. Uważano go za bóstwo rządzące światem (Światowid), to za korwejskiego św. Wita, zpogańszczonego na Rugii. Każdy z uczonych, odcyfrowujący łamigłówkę, poprawiał kronikarzy po swojemu i uczył ich rozumu. Przyznam się, żadne z tych tłomaczeń nie zdołało mnie przekonać, a przyczynek p. Parczewskiego, pomimo oparcia na żywej nazwie, wydaje mi się takiem samem gwałceniem faktów, jak i inne próby. Dlaczego — na to niebawem odpowiem. Tu jedno tylko zaznaczę, a mianowicie, iż na przestrzeni ziemi Rujanów i w sąsiedztwie istniało wiele nazw tej samej formacyi słoworodnej, co Światowit, a podawanych przez kronikarzy jako nazwy bogów: Rugjewit, Gerowit, Porewit. Nazwy te, co do swej budowy i brzmienia, zasadniczo odróżniają się od nazw, pod jakiemi zachowały się imiona niewątpliwych bóstw kosmicznych, takie, jak Czarnego Boga i Białego Boga, Peruna, Łady, a natomiast zbliżają się swojem ukształtowaniem do imion osobistych, takich, jak nasze: Ziemowit, Bogwit, Niegowit, Przywit, nawet Witosław, jak obotryckie Dargowit, zachodnio-serbskie Boliwit. Zwłaszcza imiona tej formacyi spotykają się często wśród dynastów połabskich, tak samo, jak u naszych Piastowiczów — Bolesław, Przemysław, Kazimierz i inne. Względy te, słoworodnazw, raczej przemawiałyby za przypuszczeniem, iż w Świętowitach, Jarowitach itd. rujańskich mamy do czynienia z bohaterami plemiennymi i przodkami rodowymi, aniżeli z bóstwami kosmicznemi.

Na potwierdzenie tej tezy mogę przytoczyć pewne fakty z etnologii porównawczej, pozwalające nadto sprostować niektóre inne poglądy na pierwotną Słowiańszczyznę.

Biografowie św. Ottona bamberskiego, pierwszego apostoła Pomorza, oraz inni kronikarze często mówią o istnieniu w miastach Słowiańszczyzny połabskiej olbrzymich kontyn, czyli świątyń. Takich kontyn znajdowało się cztery w Szczecinie. Z nich, jak opisuje Herbord, zwłaszcza jedna, główna, zasługiwała na podziw. Jej wnętrze i strona zewnętrzna były pokryte mistrzowską rzeźbą, przedstawiającą postacie ludzkie i zwierzęce, tak dobrze wykonane, iż można je było wziąć za żywe; rzeźby te były pomalowane tak umiejętnie, iż deszcze nie zmywały barw. Starodawnym zwyczajem do tej kontyny znoszono łupy wojenne i oręż nieprzyjacielski. Znajdowały się tam także naczynia złote i srebrne, z których możni wróżyli i pili podczas pewnych uroczystości. „Kapłani" rozporządzali licznemi trzodami. W innych kontynach szczecińskich istniały ławy i stoły, gdyż Szczecinianie przywykli tam odprawiać swe zbory. Otto zajmuje to „świątynie," a trzeba podziwiać opieszałość ludu w bronieniu swoich świętości. Są wzmianki o istnieniu takich świątyń i w innych miastach Pomorza, a wszędzie Słowianie z taką samą łatwością je oddają, chociaż uporczywie bronią rzeczy na pozór mniejszej wagi. I opisy Saksona świątyń rujańskich czynią na nas to samo wrażenie. Świątynia Świętowita była ogniskiem uczt corocznych, na które schodzili się wszyscy Rujanie, posiadała trzysta koni i tyluż pachołków, a dokoła niej znajdowały się symbole wojenne. W niej wróżono, gdy Rujanie udawali się na wyprawę wojenną. I w innych okolicach słowiańszczyzny świątynie odznaczają się pokrewnym charakterem: pełno tam rzeźb ludzkich i kształtów zwierzęcych; służą one za miejsce narad i wróżb przed wyprawą, znajdują się tam świętości brane na wyprawę wojenną, łupy z wyprawy są tam znoszone i przechowywane. Nastręcza się pytanie, czem były w gruncie rzeczy te kontyny. Nie są świątyniami w naszem pojęciu, bo nabożeństw tam niema, co najwyżej istnieje zwyczaj wróżenia przed wyprawą, bo w dalszym ciągu są one, w stopniu większym, ogniskiem spraw publicznych i narad, a nawet uczt. Kwestya ta może wydać się bardzo trudną do rozwiązania badaczom przeszłości słowiańskiej, czerpiącym wszystkie wiadomości o niej z kronik i nadaremnie usiłującym zrozumieć charakter urządzeń ówczesnych. Lecz każdy, obeznany nieco bliżej ze studyami etnologicznemi, nie zawaha się ani chwili z odpowiedzią. Takie kontyny istnieją u wszystkich barbarzyńców i spełniają w ich życiu społecznem doniosłą rolę. Są to kluby męzkie, będące jednocześnie miejscami sejmików rodowych i plemiennych i narad starszyzny, ogniskami organizowania wypraw wojennych i zapytywania się wyroczni o losy wyprawy, wreszcie sanktuaryum plemiennem, w którem są przechowywane trofea plemienne. W charakterze tych klubów nie braknie ani jednego rysu, właściwego kontynom połabskim, i odwrotnie niema ani jednej strony w opisie kronikarzy, której z wszelką łatwością nie moglibyśmy odszukać u barbarzyńców jeszcze dzisiaj istniejących. Nawet właściwości zewnętrzne, takie jak rzeźby, jak zawieszone postacie i olbrzymie posągi z drzewa nie stanowią wyjątku: istnieją one u Melanezyjczyków, tak samo jak u Rujanów. Kiedy dla uzupełnienia faktów, potrzebnych mi w jednej z prac moich, sięgnąłem po raz pierwszy do Adama bremeńskiego, Herborda i innych kronikarzy Słowiańszczyzny połabskiej, byłem zdumiony tożsamością charakteru klubów męzkich u dzisiejszych barbarzyńców, a kontyn i wogóle „świątyń" słowiańskich.

A teraz przejdźmy do prawdopodobnego charakteru Świętowita, Porewita i innych rzekomych bóstw. I w tym razie niechaj za przewodników służą nam etnografowie, opisujący zwyczaje ludów pierwotnych.

Jeden z wybitnych badaczów niemieckich chwili obecnej, O. Finsch, opisując taki klub męzki, powiada, iż, w domostwie tego rodzaju znajdują się olbrzymie narzędzia do podawania sygnałów i między innemi duże posągi ludzkie. We wsi Bongu znajdowała się rzeźba wysoka na osiem stóp. „Misyonarze, którzy w najniewinniejszych posągach po większej części widzą oznaki pogaństwa, dostrzegliby w tym posągu strasznego bałwana. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż te *telumy* nie mają nic wspólnego z religią, lecz natomiast bardzo wiele — z historyą papuańczyków" (N. Gwinea).

Wielu podróżników podaje za bałwany to, co bynajmniej nie jest bałwanami, zaznacza inny badacz, wielebny Codrington. „Budynki do przechowywania łodzi, oraz domy gminne pokryte są rzeźbami; niekiedy budowa wznosi się, jak na podporach, na posągach ludzkich, uważanych przez starszyznę wioskową za wizerunki przodków; ludność otacza je czcią, niekiedy składa przed nimi pokarm i betel. Lecz posągi te nie posiadają wcale charakteru świętości; są to tylko dowody pamięci o zmarłych wielkich mężach, których duchy, odwiedzając zwykle miejsca przebywania, radują się, widząc pamięć i poszanowanie, smucą się zaś na widok braku czci. Pogląd, aby duch zmarłego miał przebywać w posągach, jest nieznany; wizerunki te, same w sobie, nie posiadają żadnych nadprzyrodzonych właściwości. Oznaczają one tylko miejsce złożenia martwych szczątków i relikwii, i nie mogą uchodzić za bałwany."

Czy kontyny słowiańskie, niewątpliwie domy zborów i kluby starszyzny męzkiej, nie posiadały takich posągów przodków i bohaterów, posągów, przed którymi stawiano na dowód czci pewne jadła, i czy w dalszym ciągu Świętowit, Gerowit i inni nie są poprostu protoplastami rodów, odbierającymi oznaki szacunku od swych potomków, całych rodów? Czujemy zupełną prawomocność postawienia tej tezy. I cały charakter kontyn, i budowa słoworodowa samych nazw, zdaje się, popierają nasze założenie. Nie chcemy tutaj wysnuwać innych zbliżeń, ani wdawać się w szczegóły. Powiemy tylko, iż podczas wyroczni, odbywających się w pobliżu kontyny, imię przodka rodowego, rzeczywistego czy przypuszczalnego, mogło być istotnie wspominane, nawet mogły ukazać się bardziej zorganizowane oznaki czci, ale wszystko to nie zmienia zasadniczego charakteru Świętowitów. Nie byli oni nigdy bóstwami kosmicznemi, mieli raczej coś bardziej wspólnego z historyą ludu, niż z jego filozofią a, co najwyżej, byli opiekunami rodowymi i plemiennymi. Przeinaczenie, któremu ulegają jeszcze dzisiaj podo-

*) A. J. Parczewski: *Swanty Wid. Żywa nazwa w mowie ludu kaszubskiego.* Poznań, 1900.

bne pamiątki w dziełach podróżników i misyonarzy, mogło przytrafić się kronikarzom średniowiecznym, tem bardziej, iż warunki, w jakich pisali, nie były lepsze od okoliczności, towarzyszących powstawaniu obecnych opisów.

W ogóle, mocno powątpiewam o istnieniu organizacyi kapłańskiej u Słowian. Już samo rozstrzelenie polityczne nie świadczy na korzyść przypuszczenia, iż taki stan istniał: nie przemawia za tem i brak oporu ze strony ludności, nawracanej na nową wiarę. Również nie wydaje mi się prawdopodobnem istnienie jakichkolwiek świątyń. Naturalnie, lud posiadał pojęcie o różnych bóstwach kosmicznych, czcił źródła, miał święte gaje, w których odbywały się sądy; istnieć mogły mistyczne towarzystwa i pojedynczy wróżbici albo szamani tego lub innego boga. I nietylko mogli istnieć, ale rzeczywiście istnieli. Tu i owdzie wznosiła się niewielka bóżnica, w której przebywał kapłan odpowiedniego boga, a niektóre z nich, jako mieszczące wyrocznię, mogły posiadać większą doniosłość. Były uroczystości zapalania ognia noworocznego i inne obchody. Istniała cześć ubożąt, tj. przodków każdego domu. Ale wszystkie te zwyczaje są dalekie od silnej organizacyi kapłańskiej, którą odnaleźć można dopiero na wyższym szczeblu rozwoju, niż ten, na jakim znajdowali się ówcześni Słowianie. A wobec braku takiej organizacyi nie mogły istnieć świątynie, odpowiadające w czemkolwiek naszym kościołom. Kontyny były niewątpliwie ogniskiem życia politycznego i wogóle społecznego, ale nie były świątyniami. Że w pobliżu ich mieściła się wyrocznia, że odprawiano tutaj niektóre dziękczynienia, to niewątpliwe, ale w tem wszystkiem nie było ani źdźbła kultu sił kosmicznych. Rzeźby i posągi w kontynach nie miały nic wspólnego z właściwą religią, chyba wyjątkowo, i to na skutek wpływów późniejszych. Podczas ceremonii, wyrocznii lub uczt mogły występować pewne osobistości, uchodzące w oczach kronikarzy za kapłanów, ale nie zawsze posiadały one charakteru szamanów i in. urzędowych kapłanów pierwotnego barbarzyństwa. Raczej byli oni urzędnikami rodowymi i plemiennymi, seniorami, do których należało kierownictwo spraw cywilnych, tak samo, jak na innych ciążyły obowiązki wodza wojennego. Wreszcie i obecność w kontynach opętanych wróżbitów jest prawdopodobną. Studya etnologiczne nie pozwalają więcej przypuszczać, a sądzę, iż nastał czas sprawdzenia podań i opowieści kronikarskich w świetle tego rodzaju poszukiwań. Takie zestawienie może wydać nieoczekiwane rezultaty i lepiej oświetlić niejedną stronę dawnych stosunków, niż podejrzane tłomaczenia lingwistyczne i dowolne naciągania *).

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Or-Ot. (Artur Oppman).

(Dokończenie).

Pieśń starych tynów, srebrnej Wisły szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,
Od dziecka w pierś mą złote tchnęły dumy
I duszą moją urzekły od dziecka.

Rysy, któreśmy w liryku dostrzegli, znamionować będą również epika i spostrzegacza. Tu przedewszystkiem z naciskiem musimy powtórzyć, że braku tragicznej nuty w talencie Or-Ota nie należy brać za jedno ze słabem tętnem życia wewnętrznego. Życie to w każdym razie nie zasklepia się w biernym odruchu. Dawniej jeszcze poeta, zwracając się do swego „demona," powiada: „Tyś *obniżyła* górne moje loty... *Jednak* cię żegnam *cichą łzą tęsknoty*, jednak *serdecznym* witam cię uśmiechem... Chcę nienawidzieć, a kochać cię muszę, pragnąc przeklinać — modlę się do ciebie." Jeżeli gniewne uniesienie roztapia się w cichą łzę i serdeczny uśmiech, jeżeli taka jest zapłata *demonowi*, zatruwającemu duchа „swoich żądz oddechem," to już wiemy, że nie obmyje imienia „bliskiej... dalekiej" w wylewie gorzkich sarkazmów i złorzeczeń, jak tylu innych, jak autor „księgi pieśni," jak jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów... „A wiesz, jak ciebie serce me przeklina? Trzema słowami: kocham cię, jedyna."

Lecz nie dość, iż muza Or-Ota mściwych uczuć żywić nie umie; ona bierze na się rolę czynną i z smętnym na ustach uśmiechem, a z gorącą życzliwością w sercu wychodzi na spotkanie ludzi, pieściwą dłonią dotykając ich ran i śląc swe litosne spojrzenie „do tych suteryn, facyat i podstryszy, do naszych biednych, zapomnianych braci"; we dwoje z poetą chce żyć „wśród cichych ludzi i dla cichych ludzi." I to jest klucz do zrozumienia uroku, który wieje od Or-Otowskich obrazków „starego miasta." Jest i drugi jednak. Swe śliczne „Ofiarowanie," zwrócone do „serdecznej, cichej towarzyszki," poeta zamyka następującą zwrotką. „Tętniące *prostą nutą staroświecką*, na poły tęskne — wiesz po kim i czemu! — te pieśni moje, ja, mieszczańskie dziecko, poświęcam tobie, dziecku mieszczańskiemu." Mieliśmy sposobność zaznaczyć tę *prostotę z staroświecka* romantycznie brzmiącej nuty Or-Ota. Ale właśnie bezpretensyonalność owa nadaje obrazkom jego powiew ton serdeczności, a „staroświeckość" stwarza śliczną ramę dla tych „cichych ludzi," o duszy często gołębio naiwnej, a zabłąkanych w pośród nas ze świata... już nie naszego.

Sławę odkrycia „zaułków miejskich" jako motywu poetyckiego, dzieli Or-Ot z Gomulickim i Ordonem. Pomijając spór o pierwszeństwo, należy przyznać, że podział ten jest formalny jeno; „Stare miasto," czy „zaułki" — to własne dziedzictwo naszego poety, ponieważ łączy go z nimi ukochanie, ponieważ spogląda na nie innym wzrokiem, niż dajmy na to, Gomulicki. Jesteśmy np. wraz z ostatnim w „ogródku na przedmieściu." Doznane wrażenia prowadzą do refleksyi. „Tak gdy w czyścu zabłąkana dusza zbyt oddali się od miejsca kary, wrzask ją czartów do powrotu zmusza." Widoczną jest rzeczą, iż właśnie refleksya jest tu nerwem nastroju, obrazek zaś, ten czy inny, to tylko jej pozór widomy. Albo oto Nastka, córka stróża. „Rozwinął się kwiatek w suterenie"; czytywała książki, czuła wstręt do brudnego tapczana i miotły, lubiła bywać w tych kościołach, gdzie wiszą barwne malowidła, i kochała się w aniołach ze srebrnymi u ramion skrzydłami. Łatwo nieponiu skraść mogą ojcu dziewczynę, lecz ten „kiedyś pociągnąwszy piwka, los i szczęście zapewnił już dziecku, bo umyślił, leżąc na przypiecku, że je wyda— za stróża z przeciwka." Bardzo niemądry stary, a w dodatku gruba natura: piwko pociąga, na przypiecku leży... Spojrzmy jeszcze na pannę sklepową na huśtawce. „Będzie mogła z dołu swym wyrzec duchem: wzlatywałam i ja nad poziomy." Jest tu w tych obrazach wszystko: owdzie tendencya, tam nuta czułostkowa, czasem ironia lub żart, a prawie zawsze wyniosła obojętność... Or-Ot i Gomulicki zarówno biegną myślą w przeszłość, obydwaj tedy spotkać się mogą na niejednym punkcie, obaj jednakowo mogą archaizować styl, mówić o sepetach, pawimentach i dziardynach; lecz Or-Ot prawdopodobnie nie zakończy swego malowidła marzeniami jednego z patrycyuszów Starej Warszawy (Rzepy), oglądającego w wizyi przyszłą wspaniałość swego rodu. „Brzmi muzyka i śpiewanie, echo płynie jak po stepie, a wśród wrzawy słychać tylko: *Rzepa... Rzepy... Rzepą... Rzepie.* ." Boć to chyba znowu drwiny... Or-Ot, „dziecko mieszczańskie," nie schodzi do „cichych ludzi" z jakiejś wysokości. On przylgnął sercem do „starych tynów," zasłuchał się w „srebrnej Wisły szumy"—i stąd nawet w żarcie jego niema nic krzywdzącego, ani bolącego. Bo istotnie, może on i żartuje trochę, opiewając dzwonnika „Dławidudę," co „wysoki na trzy łokcie, ale *zato*, jak śmierć, chudy," ale gdy później spostrzegamy w oczach tego dzwonnika „łzy gorące, łzy serdeczne" na wspomnienie o stracie syna jedynaka, gdy zrozumiemy, jak ten prostak całą duszą wsłuchuje się w swych dzwonów śpiewanie—to już wiemy z pewnością, iż uśmiech poety nie jest ani zjadliwy, ani lekceważący... To coś tak tkliwego, jak spojrzenie matki, ścigającej okiem zabawy i swawole dzieci, to coś niby łagodny słoneczny promień, spływający na wyludniony „rynek staromiejski." „Z okien domów staroświeckich warsztatowe płyną echa, złote słońce z jasnych niebios *dobrodusznie* się uśmiecha." Ukochanie miejsc i ludzi taką moc nadaje pendzlowi poety, że, jakkolwiek z usposobienia nie epik, stwarza postacie i typy i rzuca je na tło ciasnych uliczek, ciężko kowanych furt, wysokich i wązkich kamienic, ostrołukich okien, spiczastych dachów, krużganków, zwieszonych nad podwórkami, mającemi wygląd głębokiej studni... Te postacie i typy nie posiadają kosmopolitycznego poniekąd charakteru panny sklepowej, której wolno frunąć gdzie i jak się podoba, ani nawet Nastki, kwiatka, rozwijającego się bez widocznego powodu na śmietnisku. Ukochanie to każe poecie wybiegać po za chwilę obecną. „Wokoło nas dumne piętrzyły się domy, kędy garść wspomnień wiek po wieku składał" — i oto „złota wizya mej duszy w prawdę się zamienia i wskrzesza to, co zmarło, jak w czarownej baśni." Tu „jak promienisty wir różowy, znany z legendy i z dumania, zbudzona z drzemki dwuwiekowej cudna się postać z mgły wyłania, dziewicza postać czarująca, a dziedziczka rodu prastarego..." owdzie staje przed nami, jak żywy, imćpan Karwasz bibliopola, który „jest burmistrzem na ratuszu i królewskim sekretarzem..."

Tradycya, co przylgnęła do kamieni, nie przebrzmiała całkiem bez echa; coś z dawnej dumy, jakiś odblask minionej świetności iskrą niewidoczną tleje w sercach potomków, spadkobierców sławetnych mistrzów cechowych, burmistrzów, rajców, ławników... Cisi i pokorni oni są, ale nie są to „maluczcy," nad którymi przywykliśmy się litować. W piersiach ich żyje duma niezależności, umieją czuć i szanować swą godność. „W czterech izbach Onufrostwa nie ubogo i chędogo, wszak *mieszczanie z prapradziada iść w paragon z szlachtą mogą.*" Albo posłuchajmy, jak skrybent Denar „z tradycyi mieszczańskiej przeróżne dziwy nam prawi, jaki to sklep był Szelągów, jaki ich ród był wspaniały, jakie to w domach mieszczańskich wielkie dostatki bywały. Dziś są dziedzice ich fortun, lecz niema serca dziedziców, a byli szewcy, mospanie, lepsi od pięciu szlachciców..." Nawet gdy spojrzymy na pana Bartłomieja, stojącego przy ubogim swym straganie pod katedrą, z miny i czupryny odrazu poznamy starodawną, zacną krew... A jeżeli na widok tych postaci na ustach poety wykwita smutny uśmiech, to dlatego, iż wie, że są to wymierające szczątki pokolenia, za-

---

*) Praca niniejsza jest streszczeniem obszerniejszego i źródłowego przyczynku do kultu pierwotnego Słowian. Przedstawiam pewne zawarte w nim wywody z okazyi rozprawy p. Parczewskiego.

wicją czasu zmiecionego. Spójrzcie jeno: oto konsyliarz Barnaba Walenty o rychłym swym zgonie z płaczącą gawędzi Brygidą; oto szewc Onufer, klepiąc pacierze, rozmyśla, że szyć buty będzie wkrótce chyba... w niebie; oto przy wieczornej modlitwie na wieki usypia ksiądz prefekt Kropidło. Ba, znajdzie się tu nawet ktoś, kto pamięta Samo-Sierrę, przed kim w widzeniu stoją Poniatowski, Kozietulski, Niegolewski. Kto inny szczegółowo opisuje Napoleona, co prawda, stylem kaprala Tereforo tatuleńku... Starzy wymierają, a młodszych życie inaczej już ukształtuje: wnuk seniora rodu Szelągów jest studentem medycyny: Niwelująca potęga czasu nie oszczędzi i Starego Miasta, lecz chwilę bolesnego przełomu Or-Ot ozłaca promieniami swej poezyi, promieniami tak smutnymi i pieszczącymi, jak ostatnie spojrzenie zapadającego skraj widnokręgu słońca... A słońce to niegdyś stało tryumfująco pośrodku niebios...

Po tem wszystkiem, cośmy mówili o Oppmanie, nie zechcemy obecnie utrzymywać, jakoby melancholiczny koloryt jego obrazów zależał wyłącznie od właściwości przedmiotu. Nie. To już oczy poety są tak stworzone, że przedewszystkiem wyszukuje tych, z kim mógłby się smucić, komuby mógł powiedzieć: „Na świecie wiele łka serc, co wyznać bólów nie mogą; dla takich stroskanych serc, jak balsam, pieśni są zdroje.“ Dlatego spotykamy się u niego z licznym szeregiem istot wykolejonych i rozbitych.

Wrażenie nasze nieraz zamknęłoby się może w łzawej jeno czułostkowości, gdybyśmy nie dojrzeli w duszach tych prostych istot najcenniejszych dyamentów, które podpatrzyć i na jaw wydobyć umiało kochające serce poety. W każdej z nich płonie jakieś światełko, tleje, niewidoczna może na pierwszy rzut oka, iskra cichej ofiarności, idealnego przywiązania do kogoś lub czegoś... Oto Roch Denar, skrybent mieszczański „barujący“ dla wnuka świetnego niegdyś rodu Szelągów, których był wiernym sługą i drahem... Oto „ostatni klasyk“ Podbipięta, rozkochany w „białych krukach“ Unglera i Hallera, a wzruszający się sielankami Virgiliusza i satyrami Horacego; oto... ach, tylu ich tu jest... A wojacy napoleońscy stoją przed nami w blasku wielkich idej. I wszystkie te ubielone i ciężarem życia przytłoczone, lub ciosem nieszczęścia dotknięte głowy, jak kłosy na niwie pod tchnieniem wichru, chylą się w pokorze przed „Chrystusem cudownym,“ śląc ku niemu ducha w gorących modłach: „Niech nam Twój anioł mówi o zorzy! Jak złoty pomnik dla naszych kości, zapal promyczek nad mogiłami... Źródło nadziei! Tęczo miłości! Chryste, o Chryste, czuwaj nad nami!“

Taki pomnik wystawił Or-Ot temu, co ukochał. Dokąd jeszcze sięgnie w swoim locie i gdzie się zatrzyma — nie wiem; to wszakże wiem, iż nie przebrzmi w próżni jego prośba

Za moje pieśni szczere i skromne
O łzy się wasze kiedyś upomnę.

A. Drogoszewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. H. Orlicz-Garlikowska: „Z pamiętników młodego małżeństwa.“ Drapieżna idylla, str. 144. Fiszer.

— Tołstoj: „Sonata Kreutzerowska“ z dodaniem szkiców: Jeszcze o sonacie — Do kobiet — Z powodu zarzutów o artykule „Do kobiet“ — Miłość Przeł. Daniłowicz-Strzelbicki, str. 156. Paprocki.

POEZYA. John Ruskin: „Sezam i lilie.“ Trzy odczyty: Skarby króla — Ogrody królowej — Tajniki życia i jego sztuki. Przekł. W. Szukiewicza, str. 212. Fiszer.

HISTORYA. W. Bogusławski: „Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej,“ uwieńczone na konkursie Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, tom IV (z mapą), str. 760. Poznań.

FIZYKA. J. Munro: „Opowiadanie o elektryczności,“ tłom. z ang. Wermiński, str. 221. B. Natanson.

PSYCHOLOGIA. Dr. J. Roux: „Psychologia instynktu płciowego,“ tłom. F Rogalewicz, str. 120. [illegible]

PRAWO. A. Okolski: „Zasady prawa cywilnego, obowiązującego w Król. Pols., w zastosowaniu do potrzeb rolnika.“ Wyd „Okolnika roln.-handlow.“ C. 2 rb. 50 k.

WYD. NAUK. POPULARNE. E. Martin: „Historya kawałka węgla. Czem on jest, skąd się wziął, co się zeń robi.“ przełożył z angielskiego J. Lewiński. Str. 174. Bronisław Natanson.

STATYSTYKA MILITARNA. „Potęga militarna Rosyi w świetle najnowszych danych urzędowych“ (z mapą dyslokacyjną pogranicza zachodniego). Lwów. Tow. wydawnicze.

ENCYKLOPEDYA powszechna Orgelbranda, z. 154—156.

— wychowawcza, t. V.

POEZYE

Jesienny wieczór.

Chłodny, jesienny wieczór... Na nieba krawędzi
Kona słońce, krwią rdzawą czerwieniąc błękity;
Ponury wiatr wieczorny czarne chmury pędzi,
Umarłe słońce kryjąc w całun z mroków zwity.

I ostatnie, gasnące blaski słońca giną
W mrocznym, cichym bezmiarze i brzegi chmur [złocą
Krwawem, płomiennem światłem. — Nad senną [równiną
Toczy się bój odwieczny między dniem a nocą.

Niebo zwolna ciemnieje. Jeszcze na zachodzie
Wieczorna zorza blado smutnym blaskiem płonie,
Rumieniąc wązki skrawek na nieba rubieży;

Lecz i ta wreszcie gaśnie.—Ciemności powodzie
Zalały świat, a na nich, w srebrnych mgieł opo-
Płynący Anioł nocy sen i ciszę szerzy... [nie

Juliusz Kłos.

W DALI.

Dąbrowa Górnicza. W d. 13 z. m. zatwierdzono budowę kolei podjazdowej od Miechowa, stacyi kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, przez miasteczko Miechów, Działoszyce, Skalbmierz, Kazimierzę Wielką, Szreniawę do Proszowic. Linia będzie długą około 62 wiorst i połączy dwie cukrownie, Szreniawa i Łubna, z koleją Dąbrowską. Cukrownia Łubna jest w Kazimierzy Wielkiej, Szreniawa — pod Proszowicami. Jest to najbogatsza okolica w Królestwie, obfitująca w zasobne pokłady gipsu i siarki, które z powodu braku wszelkich środków komunikacyjnych nie mogły być dotychczas eksploatowane. Nowa linia da możność łatwego wywozu zboża, którego pewną ilość, przy ogromnych trudnościach komunikacyi kołowej, wywożono dotychczas przez pograniczny punkt Baran do Austryi. Budowa tej kolei będzie kosztowała około 3 milionów rubli. Koncesyonaryuszami są: przemysłowiec i obywatel gubernii Kieleckiej, współwłaściciel powyżej wymienionych cukrowni, prezes Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu w Krakowie, p. Julian Tołłoczko, oraz inżenier komunikacyi, naczelnik wydziału technicznego kolei Riazańsko-Uralskiej, p. A. W. Rosental. Kapitały do budowy dostarczają obywatele z okolic, przez które kolej będzie przechodziła, a głównie p. Tołłoczko, oraz nowe towarzystwo akcyjne budowy kolei żelaznych, „Parowóz,“ którego przedstawicielem w Królestwie jest firma warszawska S. Neuman i Sp.

KRONIKA.

Wiadomosci społeczne. Sąd okręgowy odeski odmówił zatwierdzenia testamentu zamordowanej Wołodkowiczowej, która zapisała 160,000 rubli dwom krakowskim klasztorom, zajmującym się wychowywaniem młodzieży. Motywem do odmowy jest to, że według testamentu legaty otrzymać mają instytucye zagraniczne, nieuznane w Rosyi.

— Ogólna suma wniesionych pretensyj o odszkodowanie osób, które ucierpiały podczas katastrofy na kolei Wiedeńskiej, dosięgła 600,000 rb.

— W *Gazecie finlandzkiej* umieszczono okólnik generał-gubernatora o prowadzeniu od d. 1 stycznia 1901 r. wszelkich korespondencyj gubernatorów z generał gubernatorem i jego kancelaryą w języku państwowym

— Mieszkańcy osady Żuromina w pow. Sierpskim gub. Płockiej tudzież okolicy wystąpili do ministeryum skarbu o zatwierdzenie Towarzystwa kredytowego w Żurominie.

— Liczba członków Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Warszawie wynosi obecnie 8,260. Żadne inne stowarzyszenie w kraju nie posiada tak pokaźnej liczby uczestników.

Szkoły. Wstęp do politechniki berlińskiej (Charlotenburg) został ograniczony dla poddanych rosyjskich. Zarząd politechniki wywiesił na czarnej tablicy ogłoszenie treści następującej: „Do politechniki przyjmowani będą tylko ci poddani rosyjscy, którzy, oprócz świadectwa dojrzałości, posiadają i inne, że studyowali (lub zapisani byli jako studenci) w politechnikach rosyjskich.“ (*Frankf. Ztng.*).

Odczyty. W odczytach z d. 9 i 12 listopada p. t. „Żywienie niemowląt,“ dr. Bączkiewicz rozpatrywał metody karmienia naturalnego i sztucznego. Nie możemy roztrząsać wszystkich rozumnych rad i wskazówek, jakie dał matkom, zwrócimy tylko uwagę na jeden punkt w tych odczytach, tj. na kwestyę mamek. Dr. Bączkiewicz, zaznaczywszy trudności w znalezieniu zdrowej i odpowiedniej karmicielki, roztrząsał obszerne pytanie, czy niema w tym zwyczaju wyręczania się piersią cudzej matki jakiej krzywdy moralnej dla społeczeństwa — i odpowiedział twierdząco. Matka, odbierająca dla swego dziecięcia matkę innemu, wpływa na obniżenie uczuć macierzyńskich u tamtej kobiety, a dziecko skazuje zwykle na „garnuszek.“ Wszyscy zaś wiemy, jakie są tego następstwa. Prócz tego mamka, zakosztowawszy raz łatwego i smacznego chleba, postara się zwykle o możność zostania powtórnie mamką; coraz zaś większe zapotrzebowanie mamek zwiększa, rozumie się, i podaż. Niechże więc matki *istotnie niemogące* karmić swych dzieci, zaopiekują się przynajmniej serdecznie dzieckiem, któremu matkę zabrały i postarają się o ile możności tę krzywdę mu wynagrodzić. Były to słowa nietylko lekarza-hygienisty, lecz także człowieka, dbałego o dobro społeczne.

Teatr. „Dama pikowa,“ opera Piotra Czajkowskiego, wystawiona na scenie warszawskiej w d. 8 b. m., nie jest dziełem jednolitem w całości, jak np. „Oniegin“; prędzej sprawia wrażenie symfonicznych obrazów bardzo luźnie związanych, lecz obfitujących w miejsca pierwszorzędnej piękności. Cudne tematy, obrobienie kontrapunktyczne takie, na jakie stać Czajkowskiego, instrumentacya wspaniała, okupują miejsca rozwlekłe oraz chwilowe braki oryginalności. Wyliczanie wszystkich pereł partycyi, hojnie rozsypanych w operze, za wiele zabrałoby miejsca, dodać jednak trzeba, że ku końcowi natchnienie stopniowo słabnie, a ostatnia odsłona (samobójstwo bohatera w domu gry) przemija bez żadnego wrażenia. Akt trzeci, ślicznie stylizowany po Mozartowsku, jest mało oryginalny i stanowi zupełnie luźny epizod, który nie psuje całości, ale też w niczem nie przyczynia się do jej podniesienia. Wykonawcy zasłużyli na szczere uznanie. Co prawda, oprócz p. Florjanskiego, który dźwigał olbrzymi ciężar trudnej partyi Hermana, inne osoby działające niewiele mają do roboty. Na pierwszym planie należy podnieść zasługę p. Kruszelnickiej; z dość bladej roli Elizy zrobiła postać pełną stylowego wdzięku oraz siły dramatycznej (scena nad Newą) P. Verolli, znana dotąd jako śpiewaczka bardzo średniej miary, sprawiła nie-

spodziankę — oto z maleńkiej roli tytułowej stworzyła wyrazisty, skończony typ, a scenę konania oddała z taką grozą, jakiejby się nie powstydziła pierwszorzędna artystka dramatyczna. — Przepych wystawy przechodzi miarę tego, cośmy przywykli widzieć na scenie naszej.

Stypendya. *Żurnał Ministerstwa Narodnago Proswieszczenija* ogłasza o zatwierdzeniu następujących zapisów stypendyalnych: 8,000 rb. imienia Aleksandra Wernikowskiego dla uczniów gimnazyum męskiego w Mińsku Litewskim, katolików, z pierwszeństwem dla krewnych zapisodawcy, a w braku tych z pierwszeństwem dla pochodzących z gub. Mińskiej. 2) Zapis 5,000 rb. im. Puzylewiczów, ofiara ks. Antoniego Puzylewicza, dla uczniów 1-go gimnazyum w Wilnie, katolików, z pierwszeństwem dla krewnych zapisodawcy, a w braku tych z pierwszeństwem dla sierot, przyczem szlachta ma pierwszeństwo przed innymi stanami. 3) Zapis 6,000 rb. im. Wincentego Pohowskiego dla uczniów szkoły realnej w Równem, pochodzących z m. Równa lub z pow. Rowieńskiego.

Ruch kobiecy. We Włoszech, tej krainie miłości, poezyi i... próżniactwa, 137 dyplomów uniwersyteckich rozdano kobietom pomiędzy r. 1877 a 1898. Na Turyn przypada 36, na Pawię 21, Rzym 20, Bolonię 40, Padwę 12, reszta laureatek studyowała w Neapolu, Florencyi, Medyolanie, Messynie, Palermo, Genui. Największa ilość uczęszczała na wydział literacki, szesnaście studyowało medycynę, a inne filozofię, prawo, przyrodę.

— Parlamentowi duńskiemu przedstawiono prawo, zabraniające kobietom pracować przez pięć tygodni po urodzeniu dziecka.

— W Manchester powstaje szkoła, mająca przygotowywać uzdolnione i do zajmowania się dziećmi od niemowląt aż do sześcioletnich malców gruntownie wykształcone niańki-bony. W zakładzie znajdować się będzie sporo dzieci różnego wieku, stale lub czasowo na wakacye przybywających, co da możność zajęć i studyów praktycznych dla wychowanek szkoły.

Zdrowie publiczne. Osobna komisya przy ministeryum skarbu, według doniesienia *Now.*, powzięła szereg postanowień w sprawie udzielania pomocy lekarskiej w fabrykach. 1) Mają być urządzone pokoje do udzielenia rad chorym; 2) rady bezpłatne, zarówno jak i lekarstwa; 3) szpitale mają być utrzymywane wyłącznie kosztem właścicieli fabryk. Prócz tego w fabrykach i zakładach przemysłowych podległych inspekcyi fabrycznej, mają być założone przytułki położnicze, jeśli fabryka daje zajęcie robotnicom.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Ноября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.